Kurjer literacko naukowy

ROK IV. | WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK | NR. 32

Przedruk artykułów bez zgody Redakcji wzbroniony.

Z przeszłości Rohatyna

Powstanie miasta. — „Cherchez la femme"... — Ogniem i mieczem. — Zwrot zrabowanych skarbów. — Roksolana

Na drodze między Lwowem a Haliczem, nad brzegami Gniłej Lipy, toczącej leniwie swe mętne, spokojne wody, rozsiadła się skromna mieścina, Rohatyn.

Senne to dziś, spokojne miasteczko, jakich dziesiątki znaleźć można na Ziemi Czerwieńskiej. Ma ono jednak za sobą piękną przeszłość, — a był czas gdy imię jego głośnem było w całej Polsce, aż na dworze królewskim, — ba, nawet daleko poza granicami Polski.

Sięgnijmy tedy do pożółkłych kart starych kronik, by wyłowić z nich kilka wspomnień.

* * *

Dokładna data powstania Rohatyna nie da się ustalić. Była to jednak prastara osada, o której istnieniu mamy wiadomości już z czasów panowania ks. Władysława Opolczyka na Rusi, a więc w drugiej połowie czternastego wieku.

Wkrótce potem — skutkiem jakiejś bliżej nieznanej katastrofy, Rohatyn znika na pewien czas z widowni.

Ale już w roku 1415 powstaje znowu, jak Feniks z popiołów: zakłada miasto niejaki Wołczko Przysłużyc na prawie niemieckiem, zapewniając mu odrazu rozwój przez hojne wyposażenie go okoliczną ziemią.

W następstwie zdrady, jakiej dopuścił się syn wspomnianego Wołczka, Iwaszko, — król Władysław Jagiełło konfiskuje Rohatyn wraz z przyległemi czternastoma wioskami na rzecz skarbu królewskiego.

Już jednak w następnym roku, 1433 przechodzi Rohatyn jako zastaw królewski w ręce dworzanina Mikołaja Po rawy z Chodcza, — a to na zabezpieczenie udzielonej królowi przez tegoż pożyczki 200 grzywien srebra.

Od tego czasu przez wiek cały pozostaje Rohatyn w rękach panów z Chodcza, czyli Chodeckich, herbu Poważa. Stara ta, znakomita rodzina wielkopolska, po osiedleniu się na Rusi, stała się wkrótce jedną z najbogatszych i najbardziej poważanych, a członkowie jej piastowali najwyższe godności kasztelanów i wojewodów.

Szczególną opieką i troskliwością otaczał Rohatyn Mikołaj Chodecki, który tu miał swoją rezydencję, zamieszkując razem ze swymi siedmioma braćmi piękny i obronny dwór, zbudowany w środku miasta. A i samo miasto, dobrze zabudowane, otoczone dokoła ostrokołem, rozwijało się znakomicie. Rósł dobrobyt, rozwijał się handel i rzemiosło, a słynne jarmarki rohatyńskie stanowiły poważną konkurencję nawet dla Lwowa.

Najpiękniejszą jednak ozdobą i chlubą Rohatyna były dwie murowane świątynie: cerkiew parafjalna Narodzenia N. Panny, — oraz parafjalny kościół łaciński pod wezwaniem św. Mikołaja, zbudowany około roku 1440 przez Mikołaja Parawę z Chodcza, a suto dotowany przez jego spadkobierców, odznaczających się wielką pobożnością

Skarbiec kościelny pełny był szczerozłotych monstrancyj, kielichów i innych drogocennych przedmiotów liturgicznych i szat kościelnych. Były to częściowo dary rodziny Chodeckich, częściowo zaś rzeczy, sprawione przez miejscowych proboszczów. Chlubą kościoła były też wspaniałe dzwony, z których jeden uchodził za największy na całej Ziemi Czerwieńskiej.

Wszystkie te skarby znajdowały się nienaruszone w Rohatynie w pamiętnym roku 1509, który w historji tego miasteczka zapisał się szczególnie krwawemi głoskami.

* * *

Poszło o... kobietę. Mianowicie hospodar mołdawski Bohdan, w swej niepohamowanej ambicji zapragnął wejść w koligację z Jagiellonami — i dwukrotnie słał dziewosłęby do Krakowa, prosząc o rękę królewny Elżbiety.

Nawiasem mówiąc ów Bohdan — wedle świadectwa kronikarzy współczesnych, — „...ył chłop sprośny i jednooki, przeto nie podobał się pannie".

Kiedy spotkał się ze stanowczą rekuzą, postanowił siłą zmusić króla Zygmunta I. do spełnienia jego życzeń. Mimo zawartego z Polską przymierza rozpoczął przygotowania do wielkiej wyprawy wojennej, zbierając ochotników nawet wśród Turków i Tatarów.

Kiedy wieści o tych przygotowaniach doszły do Zygmunta I, rozesłał on po kraju uniwersały, zwołujące pospolite ruszenie na dzień 1 sierpnia 1509 do Gródka pod Lwowem.

Ale Bohdan nie czekał. Już w czerwcu wyruszył na czele kilkunastotysięcznych hufców ku Polsce. Po pierwszych potyczkach stanął 17 czerwca pod Kamieńcem Podolskim i rozpoczął oblężenie. Stara kresowa warownia oparła mu się jednak zwycięsko. Nie lepiej też powiodło mu się i pod Haliczem.

Dnia 1 lipca stanął pod murami Lwowa. Bohaterskie miasto odparło jednak wszystkie ataki hord wołosko-tatarskich, a w podejmowanych wycieczkach zadało mu nawet dotkliwe straty. Po paru dniach hospodar dał hasło do odwrotu w stronę Dniestru.

Rohatyn leżał na drodze, którą wracały hordy barbarzyńców. Bohdan postanowił tutaj pomścić swe dotychczasowe niepowodzenia i załatwić przy sposobności swe osobiste porachunki. Bo przecież w Rohatynie rezydowali dwaj bracia Chodeccy, Rafał i Piotr, ze swą matką staruszką. A właśnie trzeci Chodecki, Otto, starosta halicki, zadał niedawno porządne cięgi wojskom Bohdana, próbującym zdobyć ten gród warowny.

Wreszcie niełada kęskiem były skarby znajdujące się w obu rohatyńskich świątyniach.

Dnia 6 lipca 1509 roku wojska hospodara stanęły pod Rohatynem. Wszelkie próby oporu wydawały się zgóry beznadziejnemi wobec olbrzymiej przewagi najeźdźców, a niedostatecznych środków obronnych. Toteż bracia Chodeccy postanowili otworzyć bramy i zdać się na łaskę hospodara.

Niestety, zawiedli się w swych nadziejach. Napół dzikie hordy wpadły do miasteczka, niosąc mord, pożogę i zniszczenie.

Zrabowano i uniesiono wszystko, co się zabrać dało, — nie wyłączając nawet słynnych dzwonów, ani kosztowności kościelnych. Miasto puszczono z dymem, a całą ludność pognano w niewolę. Podzielili ten smutny los jeńców obaj bracia Chodeccy wraz z ich matką.

Wkrótce z kwitnącego, spokojnego miasteczka nie pozostało ani śladu, poza dymiącemi zgliszczami domostw, kościoła i cerkwi.

* * *

Wiadomość o tych wandalskich wyczynach hospodara oburzyła do głębi cały naród. Ciągnęły pod Gródek długie zastępy zbrojnych, pałające żądzą krwawego odwetu.

Z początkiem września armja polska w sile blisko 60 tysięcy ludzi wyruszyła pod dowództwem hetmana Mikołaja Kamienieckiego ku Mołdawji. W zwycięskim pochodzie rozbito załogi wołoskie na Pokuciu, poczem rozpoczął się marsz przez Mołdawję.

Czerniowce, Stepanowce, Chocim i inne poszły z dymem. Nad Dniestrem doszło do spotkania z wojskami hospodara, które poniosły sromotną klęskę. Do niewoli dostało się kilkudziesięciu najwybitniejszych bojarów, których Kamieniecki polecił odesłać królowi Zygmuntowi do Lwowa.

Upokorzony hospodar prosi o pokój. Dnia 23 stycznia 1510 ustalono też w Kamieńcu Podolskim warunki pokoju, którego pierwszy punkt brzmiał:

„Hospodar Bohdan ma przedewszystkiem zwrócić bez żadnego podstępu i oszukaństwa wszystkie rzeczy zabrane z kościoła rohatyńskiego, zarówno złote lub srebrne, jak również szaty i inne ozdoby i wszystkie dzwony."

Również obowiązany był Bohdan oswobodzić z niewoli i odesłać do Polski wszystkich jeńców zabranych w Rohatynie. Zastrzeżono wreszcie, że hospodar ma raz na zawsze zaniechać wszelkich starań o rękę siostry królewskiej, Elżbiety.

* * *

Wróciły tedy do Rohatyna stare dzwony, — wrócili jeńcy, którzy zdołali przetrzymać męki niewoli i trudy drugiej ciężkiej podróży wśród zimy.

Natomiast zwrot zrabowanych kosztowności i sprzętów kościelnych odbył się w sposób zgoła niezwyczajny. Oto w dniu 20 marca 1510 specjalni wysłannicy hospodara, pięciu dostojnych bojarów szli przez ulice Krakowa na Wawel, niosąc pokornie zrabowane w Rohatynie kielichy, monstrancje, krzyże i inne cenne przedmioty. Wszystko to złożyli u stóp tronu, składając deklarację lojalności i prosząc o zwolnienie jeńców mołdawskich, więzionych we Lwowie.

Taki epilog miała wyprawa hospodara Bohdana w r. 1509 do Polski.

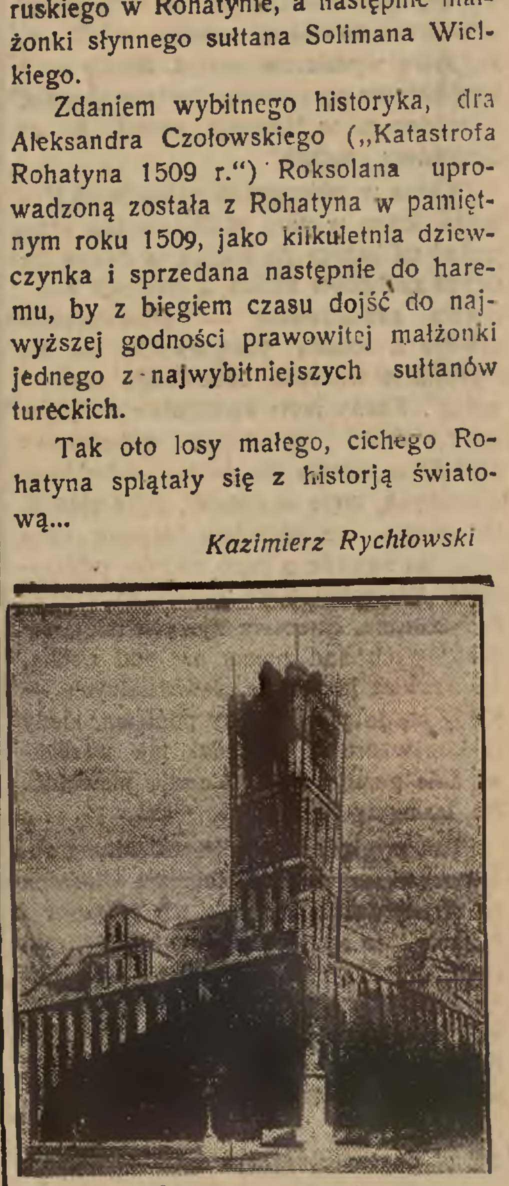
* * *

W związku z tem pozostaje też historja słynnej Roksolany, córki księdza ruskiego w Rohatynie, a następnie małżonki słynnego sułtana Solimana Wielkiego.

Zdaniem wybitnego historyka, dra Aleksandra Czołowskiego („Katastrofa Rohatyna 1509 r.") Roksolana uprowadzoną została z Rohatyna w pamiętnym roku 1509, jako kilkuletnia dziewczynka i sprzedana następnie do haremu, by z biegiem czasu dojść do najwyższej godności prawowitej małżonki jednego z najwybitniejszych sułtanów tureckich.

Tak oto losy małego, cichego Rohatyna splątały się z historją światową...

Kazimierz Rychłowski



Ratusz w Toruniu

Holandja

Holendrzy są pozytywistami i takimi zawsze byli. Równowaga w sztuce i architekturze charakteryzowała ich już wówczas, kiedy sąsiedzi ich blizcy i dalsi, Niemcy i Francuzi gubili się jeszcze w chaosie kierunków, które wyzwalały się z pojęć średniowiecza, z motywów sięgających nieraz aż w prymitywizm. Holendrzy już wtedy mieli swój charakter silnie zaznaczony i wypowiedziany, swój własny, odrębny styl. Takimi też zamkniętymi dla siebie w swoim charakterze narodowym zostali po dziś dzień. Styl ich mówi o stylu człowieka, który go stworzył, człowieka solidnego, zasobnego kupca, mieszczanina pracowitego, kochającego komfort życia, pracowitego i aktywnego inżyniera.

Malarze genjusze, jak Michał Anioł, Rafael Velasquez, nie mogli urodzić się na ziemi holenderskiej. Jednakowo wielcy, jak i mali artyści Niederlandów umieli jedynie dać obraz, wyobrażenie jak żyje ich otoczenie i te wrażenia przenieśli na płótno. Sylwetka młyna w pobliżu którego się urodził, czy, rzadziej, wnętrze kościoła, w którym się modlił jako dziecko, libacja z jakiegoś pamiętanego wesela, czy chrzcin, oto tematy, które bezustannie się powtarzają. Umysł malarza Holendra tylko rzadko umiał się unieść w dziedzinę fantazji.

Po wejściu do muzeum holenderskiego, w którem zawsze panuje, przeważa sztuka holenderska, rzuca się silnie w oczy to wrażenie. Wolni, ale i uparci Holendrzy nie wyszli nigdy z siebie, z ram, które im narzuciły ich rzeki, ich kanały, ich niewielki szmat ziemi, na którym tak trudno o rozmach. Zostali w swych ramach, dumni na swą indywidualną odrębność.

Ich malarstwo, jak i ich życie ma piętno dobrobytu, wygody aż do sybarytyzmu posuniętej. Wierni ognisku domowemu, wierni rozmiłowaniu się w estetyce życia codziennego, podporządkowali wszystko temu kultowi. Kultura kwiatów, która dziś stanowi jedną z najintratniejszych gałęzi przemysłu, wyrosła też na tym samym podłożu.

Holendrzy jednak mimo wszystko są bohaterami, mimo ich życia od stu lat w pokoju i sybarytyzmie, w dobrobycie prawie zupełnie doskonałym, są bohaterami w walce z żywiołami o każdą piędź ziemi, którą wydzierają morzu. Każdy metr kwadratowy opracowują do tego stopnia, że trudno tu w Holandji znaleźć to, co nazywamy „naturą".

Nieraz w włóczęgach naszych po Holandji, którą w parę godzin można przejechać od krańca do krańca, w czasie cudnych zachodów słońca, z Holandji właściwem oświetleniem — pozostającem zawsze w tonach pastelowych, ma się nieodparte wrażenie cudownego „campo santo". Każdy metr kwadratowy wyzyskany. Widzi się często miniaturowe ogródki o jednym do dwu metrów kwadratowych, ujęte w cement, żeby ziemia-torfowisko nie zechciała czasem nocą uciec do sąsiada o parę metrów oddalonego. Wszystko ujęte, wszystko usystematyzowane, cmentarz żywych istot, zamieszkałych nad ziemią nie pod ziemią, ale również jak tamte niewidzialnych. — Kiedy się to plewi, kiedy podlewa, kiedy robi te wzorowe porządki tak wszechwładnie panujące w Holandji, niewiadomo, bo nigdy się tego nie widzi.

Tak wygląda Holandja widziana z auta oczami turysty, zaś Holandja widziana od strony sztuki, oczyma ich artystów i malarzy, to apoteoza ich okrętów, ich portów, łodzi rybackich, dyg — i... dobrobytu, dobrobytu pod każdą postacią. Pożeślanie wszystkiego, co dobre, radości życia i użycia przez tych ludzi, których dziadowie byli jeszcze biednymi marynarzami i rybakami, — z czasów, kiedy żyć — znaczyło narażać życie codziennie dla zdobycia koniecznego minimum do tego życia.

W czasach, kiedy Hiszpanja była jeszcze wielka i potężna, a Holandja nic nieznacząca, w czasach Ludwika XIV, kiedy zmuszona była pójść walczyć, ta Holandja mała i nic nieznacząca wydała na świat takich malarzy, jak van Goyen — Halsów — Rembrandta — van Ostade — Coyp — Terborgh — Ruysdeal'ów — Ruysdeal'ów - Vermer- de Delft i tylu, Ruysdeal'ów — Vermera de Delft i tylu, tylu innych. Malarze ci, zjednoczeni w zrzeszeniach i „bractwach" są często dziwnie nowocześni (a w szczególności Frans Hals zadziwia w niektórych swych pracach w Haarlem'ie, któremi wybiega o 4 wieki naprzód), są mimo to pod względem moralnym tymi samymi Holendrami i niczem więcej, bez cienia wpływów obcych. Są tymi poczciwymi solidnymi kupcami, pracownikami — jak ich ktoryś z Francuzów doskonale określił „Société de bourgeois tres satisfaits". Dopiero Rembrandt wyprowadził swych współbraci na pełne światło i zalał ich potokami słońca. Van der Helst przebrał ich i otoczył największym zbytkiem, Franz Hals pokazał zaś od strony tych właśnie „bourgeois trés satisfaits" z mistrzowskim wprost realizmem. Van Ostade jako folklorysta przekazał potomności wnętrza domów holenderskich tak ogromnie charakterystyczne i odrębne od wnętrz wszystkich innych krajów. Zapoznaje nas dalej ze sposobami i rodzajami zabaw, uroczystości i świąt obchodzonych. Zaglądamy poprzez jego obrazy w obejścia domostw, podwórz, kurników, piwnic i kuchni. Każe nam podziwiać radość dzieci idących do szkoły — współczuć z pacjentem, któremu ząb wyrywają. Dalej garnuszki, wazony pełne kwiatów, książki i znowu beczki pełne wina — wszystko daje mu impuls do obrazków i powstaje martwa natura tak rozpowszechniona w Holandji, jak w żadnym innym kraju.

Van Goyn inny zgoła daje nam obraz Holandji: tej pełnej wody, wody bez końca, wilgoci, mgieł i mchów. To ich cudne niebo pastelowo niebieskie w popielate tony przechodzące, jak dym z cygara, — te łąki szmaragdowe, świeże, soczyste — te ich wiosnę cudną, i przedwiośnie, którego to uroku w Polsce zupełnie nie znamy.

Van de Velde to piewca wielkości Holandji na morzu: w jej okrętach, statkach, łodziach i barkach, a to wszystko spowite w to cudowne światło właściwe Holandji, w ten urok niebieski, spokój niedościgniony, błogi nastrój, tak ogromnie łagodzący nerwy.

Paul Poter maluje: pastwiska i bogactwo Holandji od strony lądu. Łąki i krowy, na nich, ich życie prawie bez opieki ludzkiej. Od kwietnia do października włóczą się tam i sam w wilgotne chłodne dnie ubrane w „narzutki" (zupełnie dobrze skrojone). Nigdy do obory nie wracają przez te długie miesiące, więc i sceny dojenia pod niebem i tyle, tyle innych ściśle z tym odłamem życia związanych, daje nam wielki Potter.

Albert Cuyp, — w technice przypominający Tiepola, daje historję Holandji z jej strony towarzyskiej, wykwintnej i wyrafinowanego snobizmu.

Ruysdal jeden i drugi, to kontrast do tamtych ostatnich. Nie daje słońca, nie daje łąk szmaragdowych, — daje melancholję pejzażu umęczonego ręką człowieka. Wyszukuje jednak z lubością i nie bez wielkiej trudności tematy z dzikich zakątków i oddaje z mistrzostwem jemu właściwym urok swoistości miejsc, zapomnianych przez ludzi i cywilizację. Gdyby jednak Ruysdale żyli dziś, nie doszukaliby się już na pewno w swej ojczyźnie metra kwadratowego ziemi, gdzieby ręka inżyniera czy architekty nie wycisnęła swego piętna.

Brauwer i Jan Steen, a w szczególności ten ostatni w niezliczonych swych obrazach pokazuje nam roześmianego, rozbawionego "rozkrochmalonego" Holendra — wychodzącego trochę z ram, żeby na następny dzień wrócić do swej sztywności i rezerwy. Jak na obrazie Jana Steen przeżywa się dziś z nim wieczór, chwile jak najdalej idącej swobody i „rozkrochmalenia", a jutro zapięci na cztery rzędy są ci sami ceremonjalni, nieprzystępni, co wczoraj rano.

Dzięki Peter de Hoogh poznajemy życie ulicy holenderskiej. Wouwerman batalista ze specjalną lubością maluje białe konie. Dalej Gabryel Metzu i Netser uwieczniają z precyzją miniaturzysty piękno deseni i jedwabistość dywanu wschodniego, bogactwo biżuterji kobiet holenderskich, ich toalet, koronek i brokatów. W końcu genjalny Gerard Dou, Hobbema, Honthorst i wreszcie Vermee, wspaniały w swym materjaliźmie, — oto podkreślona i zesumowana Holandja.

W dziełach tych mistrzów 17 i 18 wieku odkrywamy prawdziwy wdzięk i urok Holandji, który nam rzeczywistość widziana na każdym kroku potwierdza. Ileż tu przecudnych nastrojów świetlnych, nigdzie nie spotykanych zachodów słońca i poranków przeźroczystych jasnością jakąś nieziemską! Nastroje chmur różowo-niebiesko-popielatych na niebie blado niebieskiem, przechodzą w gamę niezapomnianą barw o pięknie opalu. Cały pejzaż dzisiejszej Holandji bogaty w kolory, bawiący czerwienią dachów, zielenią łąk szmaragdowych i barwnością pól kwiatowych. Kolorowo tu, kolorowo wszędzie, ach jak ładnie, jak rozkosznie ładnie. Kto patrzeć umie i odczuwać to, co widzi, dla tego Holandja to rozkosz wrażeń wzrokowych najestetyczniejszych.

Wzdłuż brzegu morza, jak obrąbek bajecznie kolorowej sukni ciągną się poprzyczepiane do wybrzeża: miasta, miasteczka, wsie, a wszystkie charakterystyczne, a każde, najmniejsze, ma swoje muzeum godne uwagi, najczęściej noszące nazwę od malarza tam urodzonego, bo też żaden kraj nie wydał tylu malarzy, co Holandja. Ale bo też żaden kraj może nie daje takiego impulsu do chwytania za paletę, co Holandja. Malarstwo holenderskie jest zupełnie swoiste, domowe, niema w nim nic kosmopolitycznego, szczególnie malarstwo wieków 16, 17 i 18-go. Mówi o rozkoszy życia rodzinnego, tego życia, które stanowi treść i charakter Holandji. Mówi o zwyczajach, o obyczajach, o kraju i poza niego niewychodzi.

Malarstwo 19 i 20 wieku trochę się wyzwala z tej zaściankowości, wychodzi na szerszą arenę, ale charakteru swego mimo to nie traci, — umysł i dusza twórców zostaje zawsze ta sama. Niema w nich fantazji, jest realizm i pozytywizm, ale mimoto nigdzie nie spotyka się — a może właśnie dlatego - takiej radości życia, co u nich. Kochają życie, chcieliby dni swoje przedłużyć w nieskończoność, powtarzać je, każdy dzień za dniem na nowo.

Życie i malarstwo łączy się tu w jedną jednolitą całość; przechodzimy z tej kąpieli wrażeń malarskich, gdzie każde płótno jest odbiciem najwierniejszem rzeczywistości, w życie samo i widzimy, że płynie ono tu jak ta bajka opowiadana w obrazach, jest zwierciadłem, odbiciem, faktycznego przeżywanego życia, ale nie przestaje być bajką swoistą, typową, nie naśladującą i nie naśladowaną. J. E.

Hinduskie obyczaje religijne

i osobliwości tej rasy

Rok rocznie bez względu na aurę i czas, zdążają kilkakrotnie tysięczne i tysięczne rzesze wiernych pielgrzymów, zaopatrzone w mąkę z bananów i inne dary w naturze do bogini Pàrvati, znajdującej się w świątyni w Bagamàndala, miejscowości, którą plemię Coorg, otacza najwyższym kultem religijnym. W pojęciu Hindusów, bogini ta przeistoczyła się w rzekę Cavèri i dlatego to chcąc ją należycie uczcić, hołdują nietylko jej posągowi, ale i rzece, do której sypią olbrzymie ilości mąki w czasie nabożeństwa będącego niejako pośrednictwem, między ludem a tym bóstwem rzecznym.

Rzeki Càveri i Canacchi, obejmujące swemi ramionami wioskę Bagamàndala, znajdują tu w pobliżu swoje źródło. Posiadają kilka metrów szerokości, półtora metra głębokości a zdążają obie do ujścia w zatoce Bengalskiej.

Nabożeństwo odbywające się w świątyni, gdzie wierni leżą rozpostarci na ziemi, jest wyłącznie i jedynie dostępne dla swoich wiernych, to jest dla Hindusów. Nikt inny należący do odmiennej rasy i wiary nie może być dopuszczony i musi pozostać poza obrębem świątyni; obecność jego byłaby profanacją świętego miejsca, zbeszcześczającą przybytek i narażającą intruza na kosztowne ablucje oczyszczające.

Obrzędy religijne o bardziej charakterystycznych cechach, odbywają się na brzegach rzeki Càveri, gdzie już wszyscy śmiertelnicy mają dostęp, zawarunkowany jednak tem, ażeby ani obuwia, ani żadnych przedmiotów ze skóry na sobie nie mieli, gdyż te ostatnie są wyrazem symbolicznym umęczenia świętego byka. Zastosowawszy się do tego rytuału, wchodzą wszyscy do rzeki, tak jak są w ubraniu, nawet najbardziej drogą umęczeni pielgrzymi a wyszedłszy z niej, muszą również tak pozostać i w niem obeschnąć. Wśród tych licznych rzesz pielgrzymich spotykamy, przedstawicieli różnych szczepów hinduskich, napływających tu z różnych zakątków Hindustanu i delegowanych tradycyjnie po parze z każdej rodziny i z obydwu płci. Są to typy interesujące pod względem antropologicznym.

Z Bagamàndala udają się nieustannie karawany pielgrzymie na szczyt góry Brahmaghiri, drogą stromą i urwistą, gdzie po trzygodzinnem wspinaniu się, docierają do pieczary, której wstępu strzegą wyłącznie kapłani Brahmini. Nabożne pielgrzymki ludów, które aż tu dotarły, muszą się poprzednio poddać postrzyżynom u stóp tej świętej góry; Bagamàndala zresztą słynie ze swych cyrulików, którzy olbrzymiemi grupami strzygą bez przerwy głowy pątników, na rozległym obszarze ku temu przeznaczonym. Obowiązkiem nałożonym na każdego pielgrzyma jest dokładne uporządkowanie tego miejsca, na którym się odbyły po-

strzyżyny a później wędrówka do rzeki, w celu zupełnego zanurzenia ciała i powrót do jej prawego brzegu dla złożenia kapłanom darów z bananów i monet. W zamian zato Brahmini udzielają grzesznym absolucji, zakładając im w czasie tej uroczystości pierścień z trawy na mały palec u ręki.

Po dokonaniu tego tradycyjnego zwyczaju, rzesze Hindusów wyruszają ku górze Brahmaghiri. Droga jest stroma i uciążliwa a wspinanie się po niej utrudniają gromady natrętnych żebraków, natarczywie domagających się co chwila jałmużny i wstrzymujących nieustannie dalszą wędrówkę. Nikt ich nie odpędza, przeciwnie obdarzają ich ogólnem uszanowaniem, gdyż zawód żebraczy przedstawia w Indjach godniejsze stanowisko od każdego innego, ze względu na wzniosłą ideę, jakiej hołdują ci ludzie, wyzbywszy się z umysłu dóbr ziemskich i żebrzący w celu wyrażenia zupełnej pogardy dla nich. Każdy żebrak wsławia inne bożyszcze hinduskie, rozgłaszając jego cnoty i zasługi w czasie żebrania. Jest to dowodem wielkiej kultury duchowej, jaką posiadają ci ludzie, przemawiający drogą nauczania, do miłosiernych dusz ludzkich i cieszących się z tego powodu ich łaskami, bardziej niż ktokolwiek inny. Żebracy ci przyciągają również dusze wiernych, dla bogów i bogiń, rozmaitemi pieśniami religijnemo, których treść będąca niejako odwdzięczeniem się za wręczoną im jałmużnę, posiada wysoką wartość literacką u hindusów.

Wysoki stopień inteligencji u tych żebraków, spartańskość ich życia i mądrość rad, zjednuje im masy chętnych słuchaczy. Wzbogacają oni literaturę hinduską, która ma zrozumienie dla ich prostych, ale uduchowionych poezji. Krzewią oni po biednych i ubogich wioskach światło wiary i kult dla bogini Siwy. Nauczają rymów i poezji, stojąc na straży tejże, — nie mając pod tym względem, nigdzie, równych sobie naśladowców. W pojęciu ludów wschodu mają dla tych zalet zupełnie inne znaczenie jak u nas.

* * *

Okolice między Bagamàndalą a źródłem Càveri wypełniają początkowo rozległe pola ryżowe, zaś dalej strome i spadziste dżungle. W lasach spotykamy trochę dalej i głębiej, olbrzymie plantacje Elettaria cardamomum. Jedyna to strefa w której wegetują przepyszne gatunki drzewiastych paproci. Wyglądają one zdaleka jak olbrzymie palmy i posiadają nawet te same rozmiary. Pień ich wyniosły, długi i nagi, a u góry olbrzymia kita puszystego listowia. Wilgoć tu wszędzie nadmierna, nie pozwala tym roślinom na normalny rozwój. W dłuższej przerwie, pojawiają się znowu, bliżej szczytu, na wysokości dwóch tysięcy metrów; w niezliczonych ilościach. I tu ich prawdziwe królestwo, w którem spotykamy wszystkie możliwe gatunki, kapryśnie rozsiadłe w różnych pozycjach, w różnych warunkach cieni i terenu. Występują w liczbie, jak na tę roślinę, fantastycznie pokaźnej, bo dochodzącej do osiemdziesięciu sześciu odmian.

Podróżni zbliżający się do szczytu Brahmaghiri, od którego ich jeszcze dzieli pokaźna ilość kilometrów, poczynają już wydawać okrzyki radości, na cześć świętego źródła, wołając głosem wielkim i uroczystym: „Naraiana“ „Naraiana“, a echo powtarza je setki razy, podając z ust do ust innym pielgrzymom. Niebawem dochodzą do schroniska ukrytego w skałach a noszącego nazwę Bimacallu, gdzie już kilku fakirów wędrownych rozbiło namioty. Tłum przelewa się jak fala dla złożenia darów. W końcu prawdziwy cel ich podróży: święte źródło otoczone basenem kwadratowym, nad którym unosi się ołtarz. Nad ołtarzem wyrasta ze skały, metrowej wysokości drzewko, liczące wieki, które nigdy nie rosło i dlatego było otaczane, ogólną czcią ludu hinduskiego, a dano mu imię „Assuota“. Nazwa ta jest właściwie ogólną, oznaczającą liczniejszą grupę drzew z tej samej rodziny i tego samego gatunku, które rosną masowo w tych lasach i których pojedyncze okazy dochodzą do fenomenalnych wysokości. Każde takie drzewo nosi dookoła małe łodyżki, na których są wyryte znaki świętej kobry.

Tłum wiernych ciśnie się dookoła basenu, chcąc wyprosić dla siebie i swoich niezliczone łaski. Spotykamy tu między nimi wdowy po Brahminach przybyłe wraz z pielgrzymką z odległych stron i modlące się gorąco o zdrowie wyłącznie dla chorych; przywdziały one burnusy brunatno - czerwone, których jeden koniec tworzy zawój, chroniąc głowy ostrzyzone i łyse już odtąd na zawsze. Biedne te Brahminki, jeszcze tak młodziutkie a wykluczone już na zawsze, z pod prawa małżeńskiego i skazane na celibat wzbraniający im zbliżania się do mężczyzn. Ubiór ich będzie po tej pielgrzymce jeszcze skromniejszy, bo czarny i zakonny. Rzesze pielgrzymów nagromadzonych u źródła, czekają cierpliwie zapowiedzi Brahmina, po której dopiero wolno im będzie kolejno brać kąpiel w basenie — potrwa to dni całe i noce. Wówczas młodzi i starzy, kobiety i mężczyźni, wszyscy pospieszą do basenu, gdzie każde z nich zanurzy się trzy razy w świętej wodzie dla oczyszczenia, a później podąży przed zastęp Brahminów siedzących rzędem u ołtarza aby z rąk ich otrzymać monety i dać swoje głowy obficie pokropić. Im cięższe i liczniejsze grzechy pielgrzymów, tem czarniejsza staje się zawartość basenu po ich umyciu.

W czasie ogólnych zanurzeń tłumów, kapłan w pół nagi tańczy ze świętym obrazkiem na głowie; inny oczekuje z mosiężną wazą na liczne datki i ofiary; trzeci zaś przygotowuje masę kwiatów dla obsypania pielgrzymów. Kwiaty stanowią clou religijnych ceremonji hinduskich. Poświęca się im całe plantacje i ogrody. Każdy dom hinduski, choćby najbiedniejszy tonie zawsze w kwieciu, gdyż zbiór ich jest tak obfity, że trwa przez cały rok, tak latem jak i zimą. Bóstwom swym ofiarowują Hindusi tylko główki z kwiatów, ułożonych dowolnie w kształtach symbolicznych. Każdemu bóstwu przeznaczają inny gatunek kwiatów, których wartość i piękno musi odpowiadać jakości próśb. Wysokość urodzenia również decyduje o gatunku kwiatów jaki wolno w życiu swem posiadać. Wielki „ragia“ hinduski zastrzegł sobie na terytorjum prowincji Coorgu prawo posiadania pewnych gatunków roślin i kwiatów, zagroziwszy karą tym, którzyby się ośmielili go przekroczyć. Ludność hinduska, głęboko wierząca w cuda natury, otacza czcią rzeki, ryby i źródła. Woda uzyskana z basenu, w którym tysiące pielgrzymów ma brać kąpiel jest święta i bywa używana do święcenia studzien i błogosławienia zwierząt.

* * *

Pod względem rasowym, dominuje nad wszystkimi szczepami hinduskimi plemię Coorgu, które zachowało po dziś dzień jej czystość, nie dopuściwszy do swego kraju innych obcych przybyszy, którzyby mogli spowodować degenerację i podbój kolonialny ojczyzny. Władcy starają się utrzymać wśród poddanych stare wierzenia i zacofane poglądy, chroniąc ich przed wpływem światowych innowacyj obejmujących każdą dziedzinę. Lud hinduski jest więc rzec można niebywale ciemny pod względem postępowości, a dostęp do rozszerzenia jego horyzontów myślowych na polu techniki, wynalazków, zmilitaryzowania kraju utrudniają prócz poprzedniego czynnika granice naturalne, jakimi są skaliste i niedostępne góry ciągnące się wszerz i wzdłuż kraju, a otoczone przepastnemi urwiskami dzielącymi go od otaczających równin. W gęstych i dziewiczych lasach mieszkają wszechwładnie mnisi, używający całego zasobu tajemnej swej wiedzy, ażeby izolować kraj, mieszkańców jego i bogactwa od światowych najezdników. Cały dobrobyt państwa leży w ich ręku.

Z końcem ubiegłego stulecia pobudowano w Coorgu nieliczne koleje i kilka traktów dla pojazdów. Zresztą są tam drogi zarówno ciężkie do przebycia dla kół, jak i dla transportów wołami. Wielką tajemnicą otaczali zawsze władcy plany swych sieci komunikacyjnych, ukrywając starannie przed potentatami finansowymi, jak i przed góralami miejscowymi, — by uniknąć tym sposobem możliwości inwazji i podboju kraju. Zakazali surowo używanie sieci dróg, okalających swą stolicę i siedzibę rządu w Mercara, dla łatwiejszego stłumienia ewentualnego buntu lub rewolucji. Plan ten przyniósł im bardzo pomyślne wyniki, bo po dziś dzień, udało im się uchować kraj od szkodliwych wpływów zewnętrznych. Stosując metodę rozmyślnego narzucenia poddanym zupełnej ignorancji w celu wymuszenia uległości, zachowali dotąd archaiczną formę rządów.

Drugą zasługą władcy jest surowe ustawodawstwo, przestrzegające czystości rasy u poddanych, mocą którego są zakazane związki z kobietami pochodzącemi z innych grup. Fakta te dowodzą o wielkiej przewadze jaką sobie zdobył szczep hinduski w Coorgu nad innymi, dźwignąwszy poziom rasowości do najwyższego szczebla.

Mimo setek lat jakie upłynęły od osiedlenia się szczepu Drawidów, pochodzącego z Uralu Ałtajskiego, w południowych Indjach, siła tej potężnej rasy dokonała cudów, nie dopuściwszy tu żadnej domieszki krwi. Większy procent tych ludzi posiada wszystkie cechy sobie charakterystyczne: to jest cudny blond włosów, błękitną barwę oczu, mleczną biel skóry i potężny wzrost. Natomiast w głębi kontynentu azjatyckiego zamieszkałego przez ludy z tej samej grupy, spotyka się ludzi o cechach wręcz odwrotnych. To nasuwa wiele wniosków obchodzących żywo antropologję europejską i śródziemnomorską z uwzględnieniem strefy górskiej północno - afrykańskiej Cywilizacja Drawidów, starsza o tysiące lat od Indo - Aryjskiej, posiada swoje cienie i nastręcza każdemu kto nię żywo się interesuje, problem istniejącej dziś ciemnoty i jej wpływu na rozwój stosunków kolonialnych.

* * *

Złotowłosi przedstawiciele Drawidów zamieszkują najodleglejsze zakątki gór Coorgu.

Podróżny musi być przygotowany na uciążliwe i niebezpieczne wspinanie się po skałach, szczytach, narażając swe życie w czasie tych karkołomnych wycieczek dla zdobyczy naukowych, które mimo wszystko zapalają go coraz zardziej i bardziej.

Najcenniejszego wywiadu naukowego dostarczają okolice góry Somuarpet, gdzie prócz kilku rodzin złotowłosych zamieszkujących wśród grot podróżny odnajduje ślady człowieka przedhistorycznego. Tutaj na tle przecudnych, skalistych pejsaży, leży legendarna grota. Odzwierciedla się ona w jeziorze, którego pochodzenie ma być boskie.

Pewien bardzo bogaty Indjanin, nazwiskiem Malla, wybudowawszy basen jeziora, składał różne ofiary ze zwierząt, wierząc, że po takich poświęceniach basen sam się wypełni wodą. Doznawał jednak ciągle zawodów. Pewnego pięknego dnia, stanęła przed nim bogini Ganga i zażądała od niego żeby poświęcił jeden palec u ręki. Propozycja ta wydała się Mallemu niedorzeczną i osobliwą, odrzucił ją więc kategorycznie, i obiecał zastąpić ofiarą z życia swej córki Acconity, korzystając z nieobecności jej męża, który wyjechał dalek w świa. dla załatwienia swych interesów. Acconita będąc bezbronną, musiała uledz krwawej ofierze i położyć życie dla spełnienia cudu. Bogini Ganga, znalazłszy pełną satysfakcję, przeistoczyła się niebawem w czyste źródło, które po dziś dzień zasila jezioro Po swym powrocie mąż Acconity pomścił natychmiast śmierć swej żony, zamordowawszy teścia i jego synów, sam zaś rzucił się z rozpaczy do stawu. Wszechwładna bogini Ganga, chąc żeby jeszcze dla niej żył, przywróciła mu życie i rozkazała się oddać kontemplaciom religijnym w najbliższej grocie.

Ludność Somuarpet jest przebogata w zasób tradycji i ceremonji hinduskich którym podróżnik i badacz antropologji, może się dosyta napatrzeć.

W pobliżu góry Gonicoppal, znajduje się świątynia, wzniesiona na skalistym wzgórzu, ku czci bożka Siwy. Przed nią zaś posąg kamienny byka. Nieopodal zaś, o kilka metrów odległości, leży nad urwistą przepaścią, olbrzymi kamień, rozmiarami sięgający dwóch metrów długości. Schodzą się do niego panny i mężatki, składając w ofierze liście betelu, odprawiając długie modły i tańcząc w koło trzy razy. Jedne w oczekiwaniu przyszłego wybranka, drugie dla wyproszenia potomstwa.

* * *

W dalszym ciągu wycieczki, natrafia podróżnik ponownie na groty. Wydają mu się one napozór próżne, ale w istocie kryją najniebezpieczniejszych mieszkańców. Towarzyszący mu przewodnicy, wyciągają nabite strzelby i trzymają je w pogotowiu, w obawie przed tygrysami. Te są jednak gdzieś w głębi ukryte, a zamiast nich wyskakuje nagle o zmroku, wzpaniały leopard. Rzuca się z wściekłością na dziką kozę, ale stojący na czatach podróżnik, kładzie go natychmiast trupem.

Jest to dopiero początek polowania Zmrok powoli zapada a z nim, ruch między dzikiemi zwierzętami coraz to rośnie. Przewodnicy nie zdradzają wielkiej ochoty wejścia do ciemnej głębokiej i zdradliwej pieczary. Podróżnik natomiast lepiej uzbrojony w broń i naboje, odważa się wejść pierwszy. Po zrobieniu zaledwie kilkudziesieciu kroków, przewodnicy podnoszą

nagle gwałt i z krzykiem cofają się wstecz, wdrapując się co sił im starczy na drzewa, otaczające grotę. Popłoch między nimi robi się okropny, bo z głębi groty, wysuwa łeb olbrzymi tygrys i kroczy powoli i majestatycznie. Od przeraźliwego ryku, trzesie się wprost ziemia. Podróżny będący już bliżej zwierzęcia niż wyjścia z groty, składa się do niego szybkim ruchem i mimo silnej emocji, jakie robi na nim to pierwsze spotkanie, kładzie go na miejscu trupem. Przewodnicy i kilku nadbiegłych tubylców, wyją z okropnej radości, wykonując dzikie tańce. Na odgłos tego alarmu, zrywa się gdzieś w głębi, stado olbrzymich nietoperzy, i rozbija w przerażeniu i popłochu dookoła.

Po tym sukcesie, podróżnik jeszcze bardziej zapalony do swych krajoznawczych wycieczek, podejmuje dalszą wyprawę w poszukiwaniu rasy złotowłosej na Pushpaghiri, to jest na górze kwiatów. Ta, jak prawie wszystkie inne, jest otoczona legendą ludu hinduskiego. Podanie głosi, że pewien święty Hindus, Santamalappa, wycofawszy się z życia światowego, osiedlił się na Pushpaghiri, wraz ze swoją małżonką Patepani. Po krótkim jednak czasie, pokłócili się oni strasznie i mąż ją wygnał, na drugi przeciwległy szczyt góry. Sam zaś trudnił się odtąd hodowaniem kwiatów, ku czci bogini Siwy. Kwiaty te rosły cudownie na nagiej skale, zraszane deszczem codziennym, przyciąganym modłami bogobojnego starca. Santamalappa doszedłszy do wieku archaicznego, rozwiał się raz nagle bez śladu. Cud ten uwiecznił wierzący lud hinduski, wznióslszy mu w połowie stoku góry, świątynię. Odtąd całe rzesze pielgrzymów, wędrują tam dla uproszenia zdrowia dla chorych a każdy składa ofiarę pieniężną i wznosi stożek z kamieni. Jest to praca dość uciążliwa, bo wymiar stożka jest przepisowy i musi wynosić dwa metry długości a trzy wysokości. Że jednak góra jest olbrzymia, mieszczą się na niej setki i tysiące stożków, począwszy od szczytu Santamalappy aż do odległego Patepani.

Podróżny chcąc zaspokoić swoją ciekawość, rozbiera pierwszy stożek i znajduje w nim monetę hinduską z r. 1876 i na tem koniec. Bywają również stożki ukrywające znaczniejszą ilość monet. Jedne i drugie są nietykalne, i lud uważałby za profanację naruszenie takiego miejsca.

Góra Pushpaghiri, znajduje się po dziś dzień w dziewiczym stanie, przed stawiając na całem terytorjum, gęstą dżunglę, zaludnioną przez niezliczone ilości dzikich słoni. Teren jej jest mokry, stale wilgotny, zalesiony, przez gigantyczne drzewa o nazwie Bombax malabricum, przez drzewa hebanowe, mahoniowe, żelazne, drzewa sandałowe, drzewa „teck" służące do budowy okrętów. Drzew bambusowych nie spotykamy tu wcale.

Dostęp do tej świętej góry Pushpaghiri, otoczonej przepaściami, jest najuciążliwszy ze wszystkich. Zdala już odstraszają jej kształty, przypominające grzbiet hinduskiego wołu o olbrzymim garbie. Wdrapywać się na nią można tylko jedną stroną i to rękami i nogami, tak jest skalista i niedostępna, a najbardziej karkołomna u szczytu. Podróżnik ma do przebycia dziesięć kilometrów drogi i to boso, gdyż religja buddyjska zakazuje brać obuwie i przedmioty skórzane, ze sobą do miejsc świętych.

Tak więc umęczony drogą, musi znosić istne tortury, kalecząc swe nogi w sześciogodzinnej wędrówce i pocieszając się jedyną myślą: „Felix qui potuit rerum cognoscere causas".

Marja Potocka.

Ślązacy w Krakowie ubiegłych stuleci

Sprawa ziem zachodnich Polski spędza sen z oczu naszego niemieckiego sąsiada. Nie dosyć mu bezustannej propagandy dotyczącej aktualnych zagadnień naszych granic.

Nawet nauka niemiecka została wprzągnięta w rydwan agitacji antypolskiej i to skierowanej przeciwko niewątpliwym faktom z okresu ubiegłych wieków. Tą drogą starają się Niemcy podważyć naszą dzisiejszą pozycję.

Świeżo ukazała się broszura Henryka Barycza p. t.: „Ślązacy na Uniwersytecie Jagiellońskim od XV — XVIII. w.". (Wydawni. Instytut Śląskiego — Katowice 1935 — skład główny: Kasa im. Mianowskiego), w której wykazany został jeden z licznych fałszów pseudo - naukowych argumentów niemieckich, dotyczących udziału Śląska w kulturze polskiej.

Jednym ze stale powtarzających się refrainów propagandy niemieckiej jest argument, jakoby Polska zawdzięczała niemal wszystko w zakresie swojej kultury wpływom niemieckim. Pod tą sugestją pozostaje nawet znaczną część naszego społeczeństwa, stąd płyną liczne niedomagania w naszem życiu narodowem.

Wspomniana rozprawka oparta na naukowych badaniach i nieodpartych faktach historycznych ujawnia nam niezwykle interesujące szczegóły z tej dziedziny, dowodzące czegoś wręcz odwrotnego. Okazuje się mianowicie, że Śląsk, a więc dzielnica najwcześniej w historji iddana pod wpływy niemczyzny ulegała bezustannie ogromnym wpływom polskości i czerpała stąd wielkie zasoby swojej siły i rozwoju.

„Dość wskazać — pisze Barycz — że humanizm śląski, który wykwitł tak wysoko w osobach Wawrzyńca Korwina, Kaspra Ursyna Veliusa, Jerzego Logusa, Franciszka Fabra i inych, za kolebkę swą miał Kraków, był wytworem atmosfery literacko - naukowej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Język polski w warstwach niemieckiego mieszczaństwa był w ciągu XVI. i XVII. stulecia powszechnie i skwapliwie przyswajany".

Mimo to jednak nauka niemiecka przechodzi do porządku nad powyższemi faktami. Th. Schönborn twierdzi (Liegnitzer auf den Hochschulen früherer Jahrhunderte), że w w. XV. i XVI. Kraków był miastem nawskroś niemieckiem, a Uniwersytet Krakowski spełniał rolę forpoczty kultury niemieckiej. Kraków w cytowanej rozprawie Schönborna nazwany jest... przedmieściem Wrocławia.

Inny hakatysta ubrany w piórka uczoności Gottschalk w rozprawie p. t.: „Oberschlesier auf den Universitäten des Mittelalters" przyznaje silny wpływ Krakowa na kulturę Śląska w ub. stuleciach, ale tłumaczy to momentem geograficznym. t. j. bliskością Śląska od wawelskiego grodu.

Obok tych dwu tak wybitnie stronniczych, a przez to nie zasługujących na uznanie głosów mamy jednak inny, najbardziej kompetentny w tych sprawach głos niemiecki poważnego badacza przedmiotu Gustawa Baucha.

Bauch przyznaje, że siła Krakowa leżała w kierunku jego Uniwersytetu, który składał zawsze należny atrybut wiedzy współczesnej i uniknął w ten sposób jednostronności. Ale i ten uczony przemilcza najistotniejszą przyczynę wpływów polskich na Śląsku t. j. węzły krwi i wspólność narodową łączącą zawsze Śląsk z Polską.

Bo oto cóż mówią na ten temat cyfry i fakty? W latach 1400—1525 liczba studjującej w Uniwersytecie Krakowskim młodzieży śląskiej wyraża się wedle zachowanej statystyki imponującą cyfrą 3.500 scholarów, co — w stosunku do ogólnej ich ilości — wynosi 14 proc. Ogółem w ciągu w. XV. i XVI. uczęszczało na 37,648 studentów blisko 4 tys. ślązaków, co wynosi 10 proc.

Pierwszymi Ślązakami korzystającymi z wiedzy w Uniwersytecie Krakowskim było 13-tu scholarów, obok których przybyli również profesorowie ze Śląska. Jeden z nich Franciszek Krzysowic z Brzegu dostąpił nawet godności rektorskiej, a pod koniec życia krakowskiej kanonji katedralnej. Do grona jego uczniów należały późniejsze slawy naukowe o rozgłosie międzynarodowym, a wśród nich słynny Jakób z Paradyża.

Wobec rosnącej liczby Ślązaków popłynęły do Krakowa wnet ofiary ze Śląska. W r. 1417 powstaje z zapisu Mikołaja z Gliwic dom dla ubogich studentów śląskich w Krakowie, niedługo potem rozszerzony i rozbudowany. Śpieszą z ofiarami kobiety śląskie, wśród których wymienić trzeba Jadwigę szlachciankę z Bierawy i Małgorzatę córkę szlachcica Zygmunta, obie Górnoślązaczki.

Nazwisko po nazwisku przewijają się Ślązacy na Wszechnicy krakowskiej. Barycz poświęcił dużo pracy, aby wykazać ich liczbę i zasługi dowodzące prawdy historycznej.

Koniec wieku XV. i początek XVI. stanowi punkt kulminacyjny w migracjach studentów śląskich do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wszechnica słynie z rozwoju nauk matematyczno - astrologicznych i literatury klasycznej. W pierwszej z nich króluje Wojciech z Brudzewa, w drugiej Filip Kallimach i Konrad Celtes. Rozgłos naukowy tych znakomitości przyciąga młodzież śląską.

Jednym z uczniów Celtesa był Wawrzyniec Corvinus z Nowego Targu na Śląsku, uczeń, a następnie docent Uniw. Jagiel. Atmosfera krakowska i polska obudziła w nim twórczość pisarską. Jako przyjaciel Mikołaja Kopernika jeden z pierwszych poznał już ok. r. 1506 zarys rewolucyjnej naonczas teorji o układzie heljocentrycznym. Przepojony pierwiastkami kultury polskiej zachował Corvinus szczery sentyment dla Polski i dał temu wyraz, pisząc w swojej poezji o mocarstwowem stanowisku Polski, sławiąc królów Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta Starego, zachwycając się Wisłą urokiem Krakowa i... krakowianek.

Podobnie pisali Bernard Caricinus Kasper Ursinus Velius, Walenty Krautwald, ci dwaj ostatni, przodownicy ruchu humanistycznego na Śląsku. Ursinus stawiał w swoich pismach Polskę wyżej od Niemiec.

Poza literatami i poetami wychował Kraków uczonych śląskich z innych wielu dziedzin, wśród których wymienić można geografów Bartłomieja Sthena z Brzegu, Jerzego Wernera, Marcina Helwega, matematyka Walentego Fontanę itd.

Lata 1525—1530 stanowią przełom. Rozłam religijny odciąga młodzież śląską od Krakowa. Mimo to Wszechnica Jagiellońska stanowi nadal dużą atrakcję i ośrodek studjów dla Ślązaków. Kształci się w niej katolicka część Śląska. Silnie reprezentowane są okolice Nissy, Opola, Raciborza. W Krakowie znajdują wykształcenie przyszli działacze i apologeci katoliccy na Śląsku, co dzieje się w dużej mierze za podnietę słynnego przeciwnika Lutra Jana Ecka kierującego młodzież śląską właśnie do Krakowa. W latach 1535—1600 przez Kraków przesunęło się conajmniej 20 kanoników katedry wrocławskiej z pochodzenia Ślązaków.

Nie brakło jednak i innych. Z Padwy przybywa do Krakowa w tym czasie śląski poeta Adam Schroeter z Żytawy. Tu studjuje Andrzej Schoneus z Głogowy, płodny poeta łaciński.

Wiek XVII. przynosi coraz silniejszy zanik studentów śląskich w Krakowie. A mimo to w latach 1601—1641 zapisało się ich tu około stu. Ze wzrastającym zasięgiem wpływów i nacisków niemieckich zwęża się jednak coraz bardziej ilość Ślązaków przybywających do Polski.

Oto krótki rys dziejów łączności Śląska z Polską w dziedzinie studjów śląskich w Krakowie. Daje on jasny pogląd na tę sprawę i jest dowdem silnych wpływów polskich na Śląsku, które sztucznie słabły wyłącznie pod wpływem przewagi niemieckiej i przynależności państwowej Śląska do Niemiec.

R. Cz.

Stulecie baśni Andersena

Okrągło przed stu lat pojawiło się w Kopenhadze pierwsze wydanie „Baśni" Andersena — i od tego czasu pozostały one aż do dziś dnia najulubieńszą lekturę młodzieży całego świata, która z równem zaciekawieniem śledzi losy „Dziewczynki z zapałkami" i „Ołowianego żołnierza", jak historję o „Słowiku" i „Brzydkiem kaczęciu".

Posiadał bowiem Andersen wyjątkowy i rzadki dar: przy całej finezji i artystycznem ujęciu tematu umiał on trafić bezpośrednio do psychiki dziecka, myśleć jego kategorjami, wyczarowywać zaklęte światy, w których najpospolitsze, codzienne spotykane rzeczy nabierały cech fantastyczności, zamieniały się w prawdziwe, przecudne, nawskroś dziecięce baśnie.

Niema w nich żadnych okropności, niema wschodniego przepychu; — wszystko to takie zwyczajne, proste, szare... Ale ile w tem prawdziwej poezji! I choć tu i ówdzie Andersen pozwala sobie na pewne sarkastyczne czy ironiczne konkluzje, gorszące zbyt surowych, dojrzałych krytyków, — bajki jego, ze względu na ich zawsze szlachetną, umoralniającą tendencję zajmują dotąd w literaturze dziecięcej jedno z najpierwszych miejsc.

One też i tylko one — sprawiły, że nazwisko Andersena przeszło do skarbca wszechświatowej literatury. Marzenia i aspiracje ich twórcy szły początkowo w innym zupełnie kierunku: wątły i chorowity syn ubogiego szewca, Chrystjan Hans Andersen, pragnął poświęcić się karjerze scenicznej.

Jako czternastoletni chłopiec przybywa do Kopenhagi, gdzie znalazł protektorów wśród wybitnych współczesnych pisarzy, którzy potrafili ocenić jego nieprzeciętne zdolności. Po ukończeniu szkół wydaje Andersen w roku 1828 pierwszy swój tomik poezyj, przyjęty bardzo życzliwie. Po tem idą utwory powieściowe i dramatyczne, — te ostatnie dość słabe.

Po powrocie z dłuższej podróży zagranicą (dzięki stypendjum nadanemu mu przez króla duńskiego) wydaje Andersen powieść „Improvisatoren", — w następnym zaś roku, 1835 słynne swoje „Baśnie". Stanowią one szczyt twórczości pisarza i jednają mu niesłychaną popularność, której dotychczas nic osłabić nie zdołało.

Nie zdobył Andersen serca słuchaczy jako aktor, nie zbierał oklasków ani wieńców na scenie, — ale zawojował serca wszystkich dzieci całego świata. Odniósł tryumf największy i najmilszy, o jakim nie myślał zapewne w najśmielszych swych marzeniach...

—o—

Prawda i legenda o kruku

Z pełną słusznością można powiedzieć, że spośród wszystkich krajowych ptaków kruk najczęściej występuje w ludowych przysłowiach, bajkach i opowieściach.

Dowodziłoby to, że obyczaje tego ptaka obserwowane i dobrze znane były oddawna ogółowi, — oraz, że ptak ten musiał być bardzo pospolitym w całej Polsce.

Dzisiaj sprawa wygląda nieco inaczej. Jak na to zwraca uwagę dr. *Jan Sokołowski* w swem doskonałem, starannie opracowanem dziele *„Ptaki ziem polskich"*, — kruk jest ptakiem dość rzadkim, i to nietylko u nas, w Polsce, lecz jeszcze bardziej w Niemczech.

Na ogół równolegle z postępem cywilizacji idzie zanikanie tego pięknego ptaka. U nas w wielu okolicach lud miesza kruka z gawronem *(corvus frugilegus)*, ptakiem o połowę mniejszym od kruka *(corvus corax)*, a bardzo pospolitym. Oba gatunki podobne są też do siebie z upierzenia, które jest czarne z pięknym metalicznym połyskiem.

Stąd i owo popularne określenie „kruczych włosów" jest w zupełności trafne i uzasadnione.

* * *

Natomiast miłośnikowi ptaków i znawcy biologji kruka trudniej przychodzi pogodzić się z utartem powiedzeniem „kradnie jak kruk".

Geneza jego leży w specjalnem upodobaniu kruka do wszelkich przedmiotów błyszczących, które porywa i ukrywa. Że zaś wśród tych przedmiotów najczęściej trafiają się rozmaite świecidełka, drobiazgi ze złota i srebra — wogóle rzeczy, przedstawiające dla człowieka większą wartość, — stąd przylgnęła do kruka etykieta „złodzieja".

Tymczasem, jak podaje Heinroth, — kruk interesuje się nietylko złotem czy srebrem, lecz każdym przedmiotem, odbijającym w jakikolwiek sposób od swego otoczenia. Jeżeli np. wśród większej ilości błyszczących przedmiotów położymy kawałek torfu, — wówczas kruk chwyci właśnie ów torf.

Normalnie jednak dzieje się przeciwnie: błyszczące przedmioty złote i srebrne, leżące na neutralnem a znanem krukowi tle, oczywiście bardziej zwracają na siebie uwagę ptaka, który je też porywa.

Porywa, — ale właściwie nie kradnie, lecz ukrywa i przechowuje w wybranem miejscu. Proceder ten jest następstwem budowy anatomicznej kruka, który — nie mogąc dla braku wola — najeść się „na zapas", a potrzebując dużo pożywienia, zmuszony jest robić zapasy żywności. Instynkt ten nie daje się stłumić, — nawet w najkorzystniejszych dla ptaka warunkach życiowych np. w niewoli, kiedy nie potrzebuje się troszczyć o zdobycie pokarmu.

Inna rzecz, że przez tę swoją nawyczkę może się kruk dawać nieraz człowiekowi przykro we znaki. Nie upoważnia to nas jednak do pasowania kruka na zawodowego złodzieja. Jest to jeden z bardzo licznych błędów, jakie popełniamy oceniając psychologję zwierząt według zasad etyki i pojęć człowieka.

* * *

Znana na całym świecie bajka o kruku i lisie wymagałaby też zasadniczego sprostowania. Najpierw o ile idzie o ów „śpiew" kruka: otóż na podstawie cech anatomicznych (obecność pięciu par mięśni głosowych w krtani) zaliczamy właśnie kruka do grupy ptaków śpiewających. Coprawda głos wydawany normalnie przez kruka na miano śpiewu w naszem ludzkiem pojęciu zupełnie nie zasługuje; natomiast kruk trzymany w niewoli uczy się z łatwością naśladowania głosu ludzkiego, konkurując pod tym względem skutecznie nawet z papugą.

A już w żadnym razie ów kruk z bajki nie mógł być tak naiwny, by — chcąc się popisać śpiewem — otworzył dziób, upuszczając trzymany w nim kawał sera.

Kruk bowiem — podobnie jak ptaki drapieżne — potrafi nawet w locie przełożyć trzymany w dziobie łup do pazurów i odwrotnie i niczego przy tem nie uroni. Tem łatwiej może to uczynić, siedząc na gałęzi. Zatem bajka o kruku i lisie pozostaje... bajką, do tego nieopartą na dokładnej obserwacji.

* * *

Dużo trafniejszem i bardziej uzasadnionem jest przysłowie „kruk krukowi oka nie wykole". Faktycznie ptaki te żyją stale parami, wykazując przytem w każdej okazji ogromną solidarność. Z innemi zaś pokrewnemi gatunkami, jak wrony i kawki, żyje stale na stopie wojennej, nie łącząc się z niemi nigdy w stada i dokuczając im przy każdej sposobności.

* * *

Czy kruk jest ptakiem pożytecznym czy szkodliwym? Odpowiedź na to pytanie jest trudna. Człowiek rozstrzyga je z punktu widzenia jego własnych interesów. Dlatego szkodliwym jest kruk, który z równym apetytem zjada ślimaka, muchę czy węża, — jak kuropatwę lub zajączka. Chętnie zapominamy o tem, że kruki zjadają wszelką padlinę, pełniąc w ten sposób tak niezbędną w przyrodzie służbę „policji sanitarnej".

A jeżeli rozczulamy się nad losem biednej kuropatwy lub zajączka, pożar tych przez kruka, — to, jak słusznie zauważa J. Sokołowski, raczej dlatego, że człowiek wolałby sam upolować i spożyć te ofiary żarłoczności kruka.

Przy ocenie pożyteczności lub szkodliwości kruka (podobnie jak każdego zresztą zwierzęcia) musimy brać pod uwagę inne kryterjum: prawo celowości i harmonji w przyrodzie. Skoro jakiś gatunek zwierzęcia istnieje i nie wyginął w tej nieustannej, nieubłaganej walce o byt, — to widocznie jest on potrzebny do całości i utrzymania wzajemnej równowagi. A wszelkie zakłócenie tej harmonji, — choćby dla człowieka ze względów utylitarnych pożądane — przynieść musi prędzej czy później wyniki zgoła nieoczekiwane i niepożądane.

Stwierdzonem np. zostało, że w okolicach, gdzie wytępiono doszczętnie drapieżniki, poczęły szerzyć się w zastraszający sposób rozmaite choroby, niszczące setki zajęcy i kuropatw. Z drugiej znów strony obecność nieprzeliczonych ilości drapieżników jak orły, szakale, lwy i lamparty, w Afryce — nie przeszkadza zupełnie normalnemu mnożeniu się bezbronnej zwierzyny jak antylopy, zebry itp.

Dlatego nie można i kruka uważać za bezwzględnego szkodnika i tępić go bezlitośnie. Zwłaszcza, że piękny ten i okazały ptak stanowi miłą ozdobę naszego krajobrazu.

(r.)

—o—

Atlas Zachodniego Pomorza

Mamy przed sobą Atlas Zachodniego Pomorza[1]), złożony z krótkiego tekstu i 57 tablic, odbitych z płyt cynkowych jednobarwnych, oraz techniką litograficzną wielobarwnie.

Zgodnie z tytułem, Atlas Zachodniego Pomorza ilustruje przedewszystkiem zagadnienia gospodarcze, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków komunikacyjnych. Poza tem jednak szereg tablic poświęcono tematom historycznym, prehistorycznym, językowym i innym.

Zachodnie Pomorze w ramach całości Niemiec.

Pierwsza mapa odtwarza położenie Zachodniego Pomorza w stosunku do całości Niemiec i sąsiadujących krain środkowej części Europy.

Oddzielna mapka obrazuje sytuację Zachodniego Pomorza w stosunku do Polskiego Pomorza i Prus Wschodnich. Północno - zachodnia część Polski, zawarta między granicą polsko-niemiecką a niemiecko - rosyjską granicą przedwojenną (z r. 1914) została uwydatniona przez zakreskowanie. Na terenie tym umieszczono wielkiemi literami napis, zapożyczony z niemieckiej terminologji propagandowej: „Weichsel - Korridor".

Na tabl. 2, 3 i 4 umieszczono kartogramy, przedstawiające intensywność przewozu towarów między Zach. Pomorzem a resztą prowincyj Prus i krajów Rzeszy, oraz nawet z innemi krajami Europy.

Stosunki demograficzne.

Na tabl. 11 umieszczono wielobarwną mapę gęstości zaludnienia Pomorza, wykonaną wg. gmin metodą powierzchniową na podstawie rezultatów spisu ludności z roku 1925. — Na mapie tej uwydatnia się doskonale znany fakt słabego zaludnienia Zachodniego Pomorza.

Jedyne niemal gęściej zaludnione obszary (mające ponad 100 mieszk. na 1 klm.^{2} towarzyszą miastom i osiedlom podmiejskim. Gęstość zaludnienia 9/10 powierzchni Zach. Pomorza nie przekracza nawet 50 mieszkańców na 1 klm.^{2}.

Na tabl. 12 odtworzono ruch ludności. Mapki zostały opracowane metodą punktową bezwzględną, co utrudnia orjentację. Z opracowań tych ujawnia się znany fakt małego przyrostu ludności w latach 1910—1925. Znaczna większość wsi wyludnia się zdecydowanie na rzecz kilkunastu miast Tylko ujścia Odry i wybrzeża sąsiednich wysp obdarzone są przyrostem ludności.

Tabl. 13 przedstawia podział zawodowy ludności. Mapki ilustrują znane fakty: równomiernego rozmieszczenia ludności rolniczej, a skupienia w paruset ośrodkach ludności handlowej i rzemieślniczej. Zwraca uwagę gęściejsze skupienie ludności nierolniczej wzdłuż dolnej Odry — związane z gęściejszem zaludnieniem i urbanizacją.

Osadnictwo.

Niezmiernie ciekawą jest mapka 20 dotycząca rozmieszczenia nowych sadyb, pochodzących z nowej kolonizacji wewnętrznej. Najsilniejszą akcję osadniczą spostrzegamy nad granicą polską oraz na Pomorzu Zaodrzańskiem, gdzie skupiają się liczne wielkie dwory

Na tabl. 21 odtworzono metodą punktową rozmieszczenie osiedli według klas wielkości. — Szczególne zainteresowanie budzi tablica 22, na której przedstawiono kształty wsi. Widzimy przedewszystkiem olbrzymie ilości dworów. W wielu terenach (np. na wschód od Słupska, na południe od Koszalina i Kołobrzegu oraz przedewszystkiem na Pomorzu Zaodrzańskiem z Rugją) stanowią dominujący typ osiedli.

Stosunki rolnicze i przemysł.

Mapy od 27 do 35 poświęcone są produkcji rolniczej kraju. Pierwsza z nich, mapa 27, jest powtórzeniem mapy 15, opracowanej inną, b. pomysłową metodą.

Każde 10 ha roli oznaczono punktem, którego wielkość odpowiada 10 ha w skali mapy. W ten sposób osiągnięto różne stopnie zaczernienia powierzchni, proporcjonalnie do stopnia jej rolności. Mapa wywiera b. miłe wrażenie dla oka.

Dalsze mapy zostały wypunktowane według tej samej zasady.

Na tabl. 37 i 38 znajdujemy po cztery mapki poświęcone przemysłowi.

Z mapek tych widzimy, że przemysł chemiczny jest skoncentrowany głównie w okolicach Szczecina i Koszalina, żelazny — występuje również pod Szczecinem i w kilku innych sąsiednich punktach, cementowy — w Szczecinie i Starogardzie, papierniczy — w Szczecinie, Koszalinie i dwu innych punktach wschodn. części kraju, meblowy — w Szczecinie, Gołonogu (Gollnow), Słupsku i Nakle (Anklam), jedwabny — w Szczecinie i Koszalinie a wełniany — głównie w okolicach Drawska, Raciborza, Bobolic i Miastka

Dość równomiernie rozrzucone są po kraju tartaki, cegielnie oraz mniejsze zakłady przemysłu spożywczego, jak młyny i mleczarnie, suszarnie płatków ziemniaczanych. — Kilka cukrowni znajduje się tylko w zachodniej części prowincji, kilkanaście browarów rozrzuconych po całym kraju, natomiast fabryki skrobi zgrupowały się głównie w środkowej części Zach. Pomorza. W kilkunastu tylko punktach na wybrzeżu umieściły się wędzarnie i fabryki konserw.

Ruch na szlakach komunikacyjnych.

Tablica 39. została poświęcona intensywności ruchu osobowego i towarowego na kolejach i kolejkach. — Na tabl. 40 podano ekwidystanty kolei; z mapki tej wynika, że tylko w czterech punktach prowincji odległość od kolei przewyższa 12,5 klm. Najgorsze stosunkowo zaopatrzenie w ko-

[1]) *„Wirtschafts- und Verkehrsgeographischer Atlas von Pommern". Mit Unterstützung des Provinzialverbandes von Pommern herausgegeben von dem Geographischen Institut.*

leje widzimy na najsłabszych gospodarczo obszarach pojezierzy.

Na tabl. 41 i 42 podano 8 mapek transportów kolejowych poszczególnych artykułów. Mapy wykonano litograficznie trójbarwnie. W sposób przejrzysty uwidocznione zostały szlaki, kierunki i nasilenie transportów.

Problemy historyczne, polityczne i socjalne.

Na tbl. 43 K. Mischke podał szczegółową mapę rozmieszczenia dialektów dolnoniemieckich na Zachodniem Pomorzu, opracowaną na podstawie własnych badań terenowych i literatury.

Autor oznaczył również (punktami) wsie, „z mniejszością mówiącą po kaszubsku“ w liczbie siedmiu w pow. bytowskim (Piasno, Płotowo Wk. i Mł. — właściwie dwie wsie — Rekowo, Przewóz, Kłończno, Studzienice i Osława Dąbrowa) i jedną w powiecie lęborskim (Wierzchucino). Wszystko to są wsie o znacznej większości polskiej. Pominięte zostały wsie: Czarna Dąbrowa i Graboczyno o większości polskiej oraz kilkanaście osiedli w tym powiecie, mających poważną mniejszość polską. — We wschodniej części powiatu lęborskiego znajdują się, oprócz wymienionego Wierzchucina, osiedla o większości polskiej i kilkanaście miejscowości z poważną domieszką Polaków. Zignorowanie tych osiedli jest wyraźną wadą mapy. Zwraca uwagę brak jakiegokolwiek śladu zasięgu mowy Słowińców, która jeszcze przed kilkudziesięciu laty panowała do koła jez. Łebskiego.

Szczególniej interesującą mapę rozmieszczenia wyznań podano na tablicy 46. Opracowanie oparto na materjale urzędowego spisu ludności (wyd. w roku 1932).

Z mapy tej widzimy, że pewna domieszka ludności katolickiej występuje na Pomorzu Zaodrzańskiem w postaci rozproszonej. Natomiast w środkowej i wschodniej części Pomorza Zach. katolików wcale nie widzimy. Dopiero nad granicą polską spotyka się większe skupienia ludności katolickiej, których doliczyć się tu można kilkunastu ty sięcy. Jest to oczywiście w przeważającej większości ludność polska. Mapka stanowi cenne uzupełnienie danych, dotyczących polskości, umieszczonych na tablicy 43.

Na tablicy 47 umieszczono mapki historyczne: jedna z nich poświęcona została średniowiecznej kolonizacji, inne zaś — rozwojowi terytorjalnemu Zach. Pomorza.

W mapkach tych uwydatnione zostały niektóre mniej znane szczegóły. Przynależność państwowa do Polski powiatów bytowskiego i lęborskiego w latach 1466—1657 została niesłusznie przemilczana.

Na mapkach od 48 do 52 przedstawione zostały niektóre opracowania dla obszarów, położonych poza Pomorzem Zachodniem, mianowicie dla obu Meklemburgij, północnej Brandenburgji i Pogranicza.

Na tabl. 53 podano m. in. mapki „rozcięcia dróg“ przez granicę polityczną polsko - niemiecką, oraz „utraconych rynków zbytu“: a) dla drobnego handlu i rzemiosła, i b) dla wielkiego handlu i przemysłu Zachodniego Pomorza. Na mapie tej oznaczono odpowiednio przez zacieniowanie części północne i zachodnie polskiego Pomorza, wzdłuż zachodniej zaś granicy liczne krzyżyki powstawiano w tych miejscach, w których granica polityczna przecina drogi (przy komorach celnych).

Na tabl. 54 przedstawiono ewolucję zaludnienia wschodn. części Zachodniego Pomorza w latach 1925-33. Widzimy stałe wyludnianie się wsi a zaludnianie miast. Jest to jakby uzupełnienie do mapki bilansu ruchu ludności za lata 1910-25, podanego na tabl. 12.

Na końcu wreszcie podano mapę podziału administracyjnego Zachodniego Pomorza 1:750.000, na której umieszczono liczne osiedla. W mapce tej, wkraczającej głęboko w obszar Polskiego Pomorza, wszystkie nazwy podane zostały wyłącznie w brzmieniu niemieckiem (Neustadt, Berent, Konitz, Czarnikau itd.).

Ogólna ocena.

W zakończeniu stwierdzić należy, że „Wirtschafts- und Verkehrsgeographischer Atlas von Pommern“ stanowi jako całość wspaniałą ilustrację kartograficzną przejawów życia ludzkiego na Zachodniem Pomorzu. Jak wykazałem przy szczegółowem omawianiu, Atlas nie jest wolny od usterek, a nawet błędów — jakiemi są np.: opuszczanie wsi mówiących po polsku na mapce językowej, nieoznaczanie granicy politycznej tam, gdzie jednak mniej ważna, bo tylko administracyjna granica została oznaczona, i w. in. Poza tem niewątpliwą niedomogą licznych mapek gospodarczych jest przesadne stosowanie metody bezwzględnej tam, gdzie podanie liczb stosunkowych ułatwiłoby orjentację.

Obok analogicznego Atlasu Śląska (Wirtschafts- und Verkehrsgeographischer Atlas von Schlesien, W. Geislera, wyd. we Wrocławiu w roku 1932). Atlas Zach. Pomorza stanowić winien dla polskiej geografji bodziec, skłaniający do wzmożenia prac nad Atlasem krain, położonych po wschodniej stronie granicznej rubieży polsko - niemieckiej.

Bogdan Zaborski, Toruń.

Niebezpieczeństwo zimnej kąpieli

W letniej porze roku stoimy w obliczu częstych wypadków podczas kąpieli. Wiele z nich wynika z powodu oczywistej nieostrożności: nieumiejący pływać puszcza się na zbyt głęboką wodę. Ale toną też ludzie z powodu nagłego zasłabnięcia. I właśnie ostatnie wypadki, a ściślej ich przyczyny pragniemy omówić.

Bo około przyczyn rozsnuwa się tajemnica. Jest tylko jedna reguła, zdobyta doświadczeniem, która stara się tę tajemnicę nietyle zgłębić, ile ją ominąć. Reguła ta głosi: nie należy się kąpać w ciągu trzech godzin po jedzeniu. Pozatem wszystko jest już dowolne i wyjaśnienia są najbardziej różnorodne. Polak i Anglik wyjaśnia nagłe zasłabnięcie w kąpieli tem, że kąpiącego się „chwycił kurcz“, natomiast Francuz tłumaczy rzecz uderzeniem krwi do mózgu. A ponieważ wiele ludzi kąpie się nawet bezpośrednio po jedzeniu, inni zaś, zawodowi niejako pływacy na dłuższy dystans, jedzą nawet podczas kąpieli — i obu kategorjom z reguły nic się złego nie dzieje, to tem bardziej wiemy o całej tej sprawie nie wiele.

Cóż bowiem oznaczają pojęcia: skurcz lub uderzenie krwi do mózgu, jeśli nie znamy ani istoty tych zjawisk, ani powodów ich pojawiania się?

Dopiero w ostatnich latach nauka lekarska poczyniła w tej dziedzinie postępy, które pozwalają jej z dużą dozą prawdopodobieństwa objaśnić zjawiska tragicznych z reguły zasłabnięć w kąpieli.

Punktem wyjścia tych objaśnień jest następujące doświadczenie laboratoryjne: Zwierzęciu robi się zastrzyk dożylny jakiegoś wytworu trującego. Zwierzę opiera się jego działaniu. Po kilku dniach zastrzykuje się drugą, minimalną dawkę tego samego jadu. Gdyby zastrzyk był robiony po raz pierwszy, to ta dawka minimalna nie przyniosłaby zwierzęciu żadnej szkody. Jednak teraz ten zastrzyk jest fatalny: wywołuje gwałtowne objawy zatrucia i nagłą śmierć.

Otóż ten stan, który wytworzył się w zwierzęciu po pierwszym zastrzyku, określa się jako stan wzmożonej wrażliwości, albo krócej *przewrażliwienia*. Wyraża się on w zaburzeniach nerwów naczyniowych, powodujących rozprężenie w obiegu krwi, a mianowicie silny spadek ciśnienia w tętnicach.

Dalsze badania stwierdziły, że to przewrażliwienie może być następstwem nietylko substancyj trujących, lecz wywołać je może wszystko, co działa wstrząsająco na organizm. Wchodzić tu mogą w grę zarówno pewne lekarstwa, wywołujące wstrząs, jak i pożywienie, ale również światło i promienie X. Także i zimno pociąga za sobą te same ujemne następstwa.

Opierając się na powyższem, wielu uczonych sądzi, że wypadki w kąpieli zdarzają się tylko u ludzi, wrażliwych na zimno. U nich bowiem zanurzenie się, zwłaszcza nagłe, w zimnej wodzie, powoduje objawy, które są normalnie lekkie, lecz mogą być również ciężkie. Do lekkich zaliczyć wypada dreszcze i pokrzywkę. Co zaś dotyczy wypadków ciężkich, wysuwa się teorję, że ci przewrażliwieni ludzie pod wpływem nagłego zimna doznają silnego wstrząsu, uniemożliwiającego im jakikolwiek ruch, w konsekwencji zatem i pływanie. Skutkiem tego nagłego zatrzymania funkcyj motorycznych, idą odrazu na dno, nie mogąc podjąć jakiejkolwiek próby ratowania się.

* * *

Wyjaśnienie to jednak nie w każdym wypadku może mieć zastosowanie. W szczególności wracamy do kwestji kąpania się najwcześniej w trzy godziny po obfitszym posiłku. Tutaj lekarze wysuwają inną teorję: Trzy godziny, to normalny okres czasu, w jakim ciała białkowe zawarte w pokarmach ulegają pod wpływem soków trawiennych transformacji, dzięki której stają się nieszkodliwemi dla organizmu.

Jeżeli przed upływem tego okresu zanurzymy się w zimnej wodzie, następuje nagły skurcz naczyń krwionośnych na powierzchni ciała, a w ślad za tem krew napływa obficiej do naczyń znajdujących się w jamie brzusznej, które ulegają skutkiem tego rozszerzeniu.

Do tych, rozszerzonych naczyń, dostają się wówczas ciała białkowate, jeszcze należycie nie transformowane, wywołując rodzaj zatrucia z jego wszystkiemi konsekwencjami.

Niezrozumiałem mogłoby się jednak wydawać, że są ludzie, którzy kąpią się bezpośrednio po jedzeniu, a nawet posilają się w wodzie. Otóż co do tych pierwszych, — to w krótkim okresie czasu między pobraniem posiłku a kąpielą, ciała białkowe nie zdążyły jeszcze dostać się w tę okolicę, z której mogłyby ulec wchłonięciu i dostać się do krwiobiegu, — temsamem niebezpieczeństwo fatalnych następstw kąpieli jest znacznie mniejsze. Co się zaś tyczy posilania się w wodzie, praktykowanego zwłaszcza przez zawodowych pływaków na dłuższych dystansach, — to organizm ich zdążył już przyzwyczaić się do zimnej wody, dzięki czemu funkcje trawienne mają przebieg normalny nawet w tem środowisku.

* * *

Jest jeszcze inna teorja. Wychodzi ona z założenia, że pod wpływem zimnej wody następuje gwałtowne podrażnienie błony śluzowej nosa, a w konsekwencji i nerwu trójdzielnego (trigeminus). Drogą refleksu działa to na centra nerwowe mózgu, w szczególności na ośrodki, regulujące oddychanie i obieg krwi. Jasną jest rzeczą, że w podobnych wypadkach wszelkie próby ratunku są beznadziejne: śmierć następuje niemal błyskawicznie.

Jeżeli przyjmiemy powyższą teorję — kwestja pory dnia oraz godziny pobranego przed kąpielą posiłku, nie miałaby właściwie żadnego niemal znaczenia.

* * *

Wszystkie powyższe uwagi i hipotezy dotyczą naturalnie tylko ludzi zupełnie normalnych i zdrowych. Zupełnie inaczej i znacznie groźniej przedstawia się kwestja zimnych kąpieli dla ludzi obarczonych jakąś chorobą lub wadą organiczną.

Punktem wyjścia nieszczęśliwych wypadków w kąpieli jest nagłe uczucie gwałtownego zimna, silny skurcz naczyń obwodowych, rozszerzenie naczyń wewnętrznych, połączone z gwałtownym dopływem krwi. Dlatego wystrzegać się winni zimnych kąpieli zarówno ludzie starsi, cierpiący na zwapnienie tętnic, jak i chorzy piersiowo, jak wreszcie alkoholicy i ludzie przeczuleni nerwowo.

Pamiętajmy o tem, że kąpiel w zimnej wodzie, dłuższe przebywanie w wodzie, a tembardziej skoki do wody, to domena, dostępna tylko dla ludzi zupełnie zdrowych i młodych. I na wszelki wypadek trzymajmy się starej zasady, że nie powinno się brać kąpieli wcześniej, jak w trzy godziny po obiedzie.

(dr. L.)



Plon niesiemv. vlon.

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Ostatnie echa pełnego sezonu kąpielowego, dochodzące nas od słonecznych plaż Adrjatyku i Atlantyku, — to oryginalne kostjumy kąpielowe, zwane „pareo". Pojawiły się one tu i ówdzie już w zeszłym roku, — obecnie jednak zaczynają już skutecznie konkurować z modnemi kusemi i głęboko wyciętemi trykotami. „Pareo", to krótki kostjum kąpielowy, przypominający poniekąd rzymską togę, a osłaniający cały korpus bardzo dyskretnie a estetycznie.

— Uzupełnieniem niejako „pareo" jest cape lub dłuższa pelerynka ze specjalnego materjału „diaphe'a", zupełnie przeźroczystego, zabezpieczającego przed zbyt silnem działaniem promieni słonecznych. Tajemnica fabrykacji tego materjału jest pilnie strzeżona; z wyglądu podobny on jest do organdi lub szyfonu, daje się doskonale prać i nie blaknie na słońcu. Jedyną jego, wielką wadą jest wygórowana cena.

— Bardzo modnym, milutkim, a niedrogim drobiazgiem jest duża biedronka, zrobiona z koralu i czarnej emalji. Przypina się ją przy staniku, na toczku, na żakiecie. A nawet na czarnej rękawiczce, w okolicy kostki.

— W najnowszych kolekcjach widzi się dużo pelerynek jednobarwnych, przeważnie z ciemnej wełny, podszytych jedwabiem w barwne desenie, najczęściej w kratki. Do tego ślicznie wyglądają rękawiczki z manszetami z tego samego jedwabiu, — albo też mały zgrabny kapelusik również z jedwabiu.

— Modne są ciągle żaboty przy kostjumach tailleur, zarówno z cieniutkiego batystu i tiulu, jak z białej piki i sztywnego płócienka.

— Suknie bardzo obcisłe, podkreślające wąską linję bioder, a rozszerza jące się dopiero pod kolanami. Tak samo obcisłe i płaszcze, zapinane gęsto na guziki.

— Kołnierze bardzo urozmaicone: w stylu Marji Stuart, budkowe, pensjonarskie. Nowością są obramowania futrzane na kołnierzu i rewersach, — przy analogicznem obszyciem futrzanem rękawów.

— Z biżuterji dużem powodzeniem cieszą się perły i efektowne djademy.



Z najnowszej mody letniej: Zgrabna sukienka z crepe imprimé.



Gdy jesień się zbliża...

Co nam przyniesie moda jesienna? Jak się zdaje, nie należy oczekiwać żadnych rewolucyjnych nowości. A więc: niezbędny kostjum angielski (z krótszą nieco spódniczką), luźne okrycia 3/4 lub 7/8 długości.

— Suknie bardzo ściśle przylegające i uwydatniające smukłość sylwetki

— Suknie wieczorowe z gładkiej lub przetykanej tafty oraz z tiulu.

— Z kolorów najbardziej forsowany jest kolor rdzawy i jasno - oliwkowy, — natomiast czarny popadł chwilowo w niełaskę, — przynajmniej u krawców paryskich.

— O ile idzie o kapelusze, to zapowiada się moda obfitego przybierania ich piórami. Niektóre modystki próbują wprowadzić modę turbanów, nasuniętych mocno na głowę i zakrywających zupełnie całą fryzurę.

— Specjalną predylekcją cieszy się srebro: srebrna lama, srebrne koronki, tafty przetykane srebrnemi nićmi, nawet suknie z organdi na srebrnej podkładce, i srebrne kwiaty.

— Do sukien popołudniowych nosić się będzie szerokie paski, gęsto nabijane drobnemi metalowemi blaszkami.

— Na chłodniejsze, wietrzne dni osłaniać będziemy twarz dużą, szeroką woalką, luźno zwisającą.

— Bardzo miłem i modnem jest zestawienie barwy popielatej z ponsową: popielata peleryna, podbita cienkim ponsowym trykotem jedwabnym i jumper w tym samym kolorze.

— Suknie popołudniowe z materjałów wełnianych w barwne supełki lub dyskretne desenie. Przybiera się je dużemi płaskiemi guzikami metalowemi.

Pranie rękawiczek

Największem zmartwieniem jest zazwyczaj, że rękawiczki po wypraniu kurczą się i tracą formę. Możemy temu w dużej mierze zapobiec, piorąc je po włożeniu na ręce.

Dotyczy to zwłaszcza rękawiczek skórkowych, które przy nieodpowiedniej manipulacji dostają brzydkie plamy.

Pierze się je w letniej wodzie mydlanej, unikając zbyt forsownego tarcia; następnie opłukuje w wodzie mydlanej. Dobrze jest dodać do niej parę kropel oliwy.

Nie wolno ich wyżymać, tylko lekko wycisnąć wodę. Następnie rozkładamy je w cieniu, na suchym ręczniku, celem wysuszenia.

Jeszcze nieco wilgotne wkładamy na ręce, starannie umyte i oczyszczone, pocierając jedną ręką o drugą aż do zupełnego wyschnięcia. W ten sposób mamy pewność, że skórka pozostanie zupełnie miękka, a rękawiczka będzie wyglądać jak nowa.



Kilka najnowszych modeli sukien letnich. Zwracamy uwagę na pierwszy rysunek z lewej strony: przez odjęcie rękawów i kołnierza można suknię spacerową zamienić w strojną suknię wieczorową.

Poradnik dla gosposi

ZUPA „NIC" Z PIANĄ LUB GROSZKIEM PTYSIOWYM.

Proporcja: 2 litry mleka pełnego (niezbieranego) 6 jaj, kawałek wanilji, cukru do smaku.

Zagotować mleko z wanilją, którą użyć w całym kawałku (nie krajać!). W międzyczasie ubić żółtka z cukrem, (wziąć do tej proporcji mniej więcej 20 dk.). Gdy się mleko zagotuje, zdjąć je z ognia, dodać kilka łyżek do żółtek, rozkłócić razem. Lać żółtka powoli do mleka, ciągle mieszając, postawić znów na blasze, mieszać i podgrzewać pilnując, aby się zupa nie zagotowała, powinna jednak pod wpływem podgrzewania nabrać zawiesistości. Gotową zupę przelać do wazy, przestudzić, wstawić do lodowni.

Ubić pianę z pozostałych białek, zagotować w dużym rondlu trochę mleka, brać łyżka równe ilości piany, kłaść na wrzące mleko, gotować, gotować chwilę, poczem wyjmować łyżką durszlakową i układać na sicie, żeby obsiąkła. Wydając zupę na stół włożyć do wazy gotowaną piankę. Temperatura zupy „nic" podawanej na zimno powinna być niska. Można też podawać zupenie z pianą,a z groszkiem ptysiowym.

KRUCHE SUCHARKI WANILJOWE

Proporcja: 40 dkg mąki, 10 dkg cukru pudru, 10 dkg masła, 2 całe jaja, na koniec noża amoniaku, wanilja.

Zagnieść ciasto podług powyżej wskazanej proporcji. Wyrabiać dosyć długo, aby było zupełnie gładkie. Gotowe wałkować na palec grubo, podsypując mąką. Wycinać foremką blaszaną niewielkie krążki, nakłuwać każdy kilkakrotnie, posmarować jajkiem. Piec na rumiano w średnio gorącym piecu. Po wyjęciu z pieca posypać obficie gorące sucharki cukrem miałkim wymieszanym z drobno tłuczoną i osianą wanilją.

NADZIEWANE OGÓRKI

4—6 świeżych ogórków, pół kwaterki śmietany kwaśnej, ćwierć kilograma cielęciny, 5 dkg ryżu, 8 dkg masła, cukier, sól, koperek, pietruszka, cytryna, 2 dkg mąki, 1 cebula. Ogórki obrać cienko, odciąć koniec z jednej strony, ostrożnie wydrążyć, nałożyć farszem mięsnym, założyć otwór odciętym końcem ogórka. Włożyć do rondla, dać masła (2 dkg), trochę wody i dusić do miękkości. Osobno zrobić zasmażkę z 4 dkg masła i mąki, rozprowadzić zimną wodą, wlać do ogórków, osolić, ocukrzyć i zagotować. Przed podaniem na stół dodać śmietany i siekanej zieleniny. Farsz mięsny: Cielęcinę zemleć, wymieszać z ugotowanym ryżem i cebulą pokrajaną i usmażoną. Osolić, dodać trochę siekanego kopru.



Z pewnością każda z pań znajdzie w domu jakąś zeszłoroczną niemodną już sukienkę czy bluzkę. Można ją doskonale zużytkować, kombinując z dwóch różnych materjałów jedną bluzeczkę, co będzie i modne i oryginalne. Wzór takiej kombinacji podajemy powyżej.

Plamy z czerwonego wina wywabia się doskonale na wszystkich materjałach bardzo gorącem mlekiem.

Akwarjum myć należy co drugi dzień solą kuchenną i kwasem octowym. Należy przytem dobrze uważać, żeby nie poparzyć rąk kwasem. Po dokładnem wymyciu trzeba jeszcze akwarjum porządnie wypłókać gorącą i zimną wodą.

Plamy po kakao wywabia się doskonale białkiem jajka. Plamę należy zalać białkiem. Po pewnym czasie białko trzeba zmyć ciepłą wodą.

Z WYDAWNICTW

„Kobieta w świecie i w domu" nr. 15 stoi na przełomie sezonu letniego i jesiennego. O urokach lata, wycieczek, wędrówek po wodzie, mówią nam dwa, pięknie ilustrowane feljetony. Natomiast modele sukien jesiennych i ładne, oryginalne wzory robót ręcznych przypominają nam, że zbliża się jesień, że wieczory stają się coraz dłuższe...

Piękną i głęboką myśl rozwija N. Dobrzańska w artykule „Tak nie wolno!", domagając się lojalności w porachunkach życiowych. W dziale beletrystycznym spotykamy dobrze znane nazwiska: B. Kwapińskiej, J. Kiewnarskiej, J. Wyczółkowskiej.

Dział praktyczny i doskonale prowadzony dział kulinarny przynoszą jak zawsze bogatą i urozmaiconą treść. Prawdziwą ozdobą tego zeszytu jest piękna barwna okładka pędzla H. Kedzierskiej.

Radjo-encyklopedja życia codziennego

Wpadł mi niedawno w rękę *„Mały Rocznik Statystyczny“* za rok 1934. Nieciekawa, sucha lektura: zestawienia, cyfry, cyfry... Ale i one mają swoją wymowę.

Mówią nam przedewszystkiem o postępującym upadku kultury. Toż w roku 1934 zwiedziło wszystkie muzea w Polsce (za płatnemi biletami) niespełna 50 tysięcy osób!

Toż ilość wydanych w tym roku książek i ich nakłady zmniejszyły się o przeszło 50 proc. w porównaniu z rokiem 1929.

(Jakże imponująco przy tem wyglą da cyfra 1,283.000 biletów wstępu, sprzedanych na rozmaite... imprezy sportowe!).

Ale obraz, jaki moglibyśmy wyrobić sobie z tych cyfr, byłby jednak niekompletny, jednostronny. Tak źle znowu nie jest, jakby się wydawać mogło. Muzea interesują szczupłe stosunkowo grono ludzi, mających specjalne naukowe zainteresowania w tym czy w innym kierunku. Książka jest u nas ciągle jeszcze za droga, — a sama beletrystyka w żadnym razie nie wystarcza na zaspokojenie wszystkich potrzeb umysłowych przeciętnego inteligenta.

Musi on szukać i znaleźć coś więcej, jeżeli chce być „au courant“ wszystkich wydarzeń z życia umysłowego, artystycznego, technicznego, społecznego, — jednem słowem zdobywać, rozszerzać i pogłębiać zasób swych wiadomości. A gorączkowy rytm dzisiejszego życia i codzienna walka o byt nie pozwalają na systematyczne, poważne studja.

Jemu trzeba poprostu *„encyklopedji życia codziennego“!*

* * *

Taką to właśnie, pulsującą życiem i aktualnością, niezastąpioną encyklopedją stało się radjo. I to szczególnie u nas, w Polsce, gdzie na polu ogólnej kultury mamy dużo, bardzo dużo, do odrobienia. W państwach bogatych, nie hamowanych w swym rozwoju, radjofonja uważaną jest za miłą, kulturalną rozrywkę. U nas, w naszym kraju, który niedawno stosunkowo zrzucił z siebie więzy niewoli, w kraju, gdzie zaborcy celowo i świadomie starali się hamować i opóźniać postęp oświaty i kultury, — radjo ma znacznie donioślejszą rolę do spełnienia. Stoją przed niem pierwszorzędne zadania kulturalne, oświatowe, społeczne i pedagogiczne.

Nie dziw zatem, że rząd polski, doceniając olbrzymie znaczenie radjofonji, wykupił większość akcyj Akc. Spółki „Polskie Radjo“, — zapewniając sobie w ten sposób decydujący wpływ na dalsze losy tej instytucji.

Wpływ ten — choć dotychczas jeszcze nie bezpośredni — daje się odczuwać już od dłuższego czasu. Wyrazem jego jest z jednej strony stałe ulepszanie i urozmaicanie programów, — z drugiej zaś znaczny wzrost liczby radjoabonentów, w roku 1934 wyrażający się cyfrą *blisko 20 proc.,* — a więc stosunkowo wyższą, niż w którymkolwiek innym kraju europejskim.

* * *

W wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy dyrektor naczelny P. R. p. *Roman Starzyński,* podkreślił między innemi, że Polskie Radjo jest bodaj jedyną instytucją w Polsce, mającą zapewniony *pełny miljon zł miesięcznych wpływów.*

Suma to bardzo duża jak na nasze warunki. Większa nawet stosunkowo od wpływów, jakiemi dysponuje radjofonja czechosłowacka, posiadająca przecież blisko o sto procent więcej radjoabonentów, niż nasza!

A stały i to znaczny przyrost abonentów w Polsce, obserwowany, już od roku, każe przewidywać, że i ten dochód miesięczny wzrastać będzie nadal w dość szybkiem tempie.

Umożliwi to niewątpliwie dyrekcji centralnej dalszą rozbudowę sieci rozgłośni regjonalnych — żeby tylko wymienić traktowaną dotąd po macoszemu radjostację w *Łodzi* i konieczność zbudowania znacznie silniejszej stacji *we Lwowie.* (Wartoby też zastanowić się, czy nie byłoby wskazanem zbudowanie choćby przekaźnikowej stacji w pobliżu naszej granicy południowo-wschodniej, np. w *Kołomyji).*

Na dalszym planie jest budowa własnego gmachu dla warszawskiej centrali, co oczywiście oznaczałoby poważny krok naprzód.

Rzućmy jeszcze okiem na inną statystykę, równie oficjalną, bo zestawioną przez Polskie Radjo.

Na dniu 1 lipca br. ogólna ilość radjoabonentów w Polsce wynosiła okrągło 410 tysięcy. Z tego *na samą Warszawę* przypada przeszło 64 tysiące *(ponad 15 procent),* zaś na cały Warszawski Okręg pocztowy *blisko 158 tysięcy, — czyli prawie 40 proc ogólnej sumy!*

Cyfry te uczą, w jakim kierunku iść powinny wysiłki dyrekcji celem zjednania nowych abonentów: prowincja, a przedewszystkiem wieś, — to teren dotychczas w minimalnym zaledwie stopniu eksploatowany. Tam otwierają się przed radjofonją polska niemal nieograniczone możliwości. A przeprowadzona w tym kierunku akcja miałaby znaczenie przedewszystkiem wybitnie kulturalne i oświatowe.

Byłoby to naprawdę połączenie *utile cum dulci* i to w całem tego słowa znaczeniu obustronne.

(Lucy).

Krytykujemy audycje...

Kiedyż wreszcie ustali się jakaś lepsza pogoda? Kiedyż będziemy mogli powiedzieć, że nareszcie mamy lato? Przyznać trzeba, że jednak i tego roku nie szczęści się letnikom. Deszcze, wiatry, chmury, jesienne chłody, jednem słowem aura niezbyt przyjemna i wcale nie zachęcająca do opuszczenia swego pokoju, wynajętego w wykwintnym pensjonacie, czy lichej chałupie wiejskiej.

Jeśli ktoś mieszka w pensjonacie, to jeszcze pół biedy; bo wtedy łatwiej i o czwartego do bridża i o miłe towarzystwo do rozmowy i o książki, a nawet gdzieniegdzie trafi się i radjo. Ale dla letników, którym uśmiechało się błogie leniuchowanie w słońcu „wsi spokojnej, zachmurzone niebo jst istną karą Bożą: książek pod ręką brak, zaś radjo... wymeldowali na miesiąc przed wyjazdem stosując system „oszczędności wakacyjnych“. A szkoda, bo wiele elementu ruchu, nowości, ożywienia, urozmaicenia i humoru wnoszą letnie radjowe audycje w nudę brzydkich dni.

Nie zawsze wprawdzie ten humor jest pierwszorzędny (co zresztą wynagradzają inne audycje). Weźmy choćby ostatnią „Wesołą Syrenę“, która przeniosła się aż nad morze. Jednak od soli morskiej do attyckiej, droga bardzo daleka i pytanie czy wogóle dostępna dla istoty, która miast zdrowych, mocnych nóg, na rybi ogon, przypominający conieco śledzia pocztowego. Parę płaskich, nie wybrednych dowcipów, cała masa t. zw. „szmoncesów“, dwie kiepsko zaśpiewane, mało melodyjne piosenki i na okrasę jedno naprawdę dowcipne pawiedzonko, jakiś oryginalniejszy pomysł, czy sytuacja, oto cała warszawska „Syrena“, zdawało się tak groźna konkurentka wszystkich innych, wesołych audycyj. Co do mnie osobiście, to uważam, że krótki oddech Syrenki i chętne a wygodne korzystanie z gotowych, starych schematów i wzorów, nie wróżą jej długiego życia. Utinam falsus vates sim! Możliwe, iż dalsze jej występy podniosą się na wyższy poziom, zadowalający dość wybredny smak radjosłuchaczy, kształcony na znacznie lepszych wesołych produkcjach. To cośmy dotąd słyszeli opatrzone marką „Syreny“, określić można tylko mianem naiwnych prób szukania łatwych, bardzo łatwych dróg.

W ostatnich czasach zauważyłam pewną, dość ciekawą rzecz, że mianowicie większość warszawskich lekkich audycyj, jeśli już nie jest oparta w całości na dowcipie żydowskim, to w każdym razie musi go zawierać sporą dozę. Tu na piasku zakochana parka żydowska, tam dzielni „marinaros“ (również na piasku) o wybitnie nie polskim akcencie, gdzieindzej znów małżeństwo Kohn Rabinowicz, czy Cypkin, lub coś innego, ale w tym rodzaju. Wszystko co jest w nadmiarze — nudzi. „Co za dużo — to niezdrowo“. Zdobądźmy się wreszcie na odwagę i wyznajmy, że „szmoncesy“ już się przejadły. Zaczynają być niestrawne i niesmaczne. Nie wiem też, poco wsadzono je do — skądinąd ciekawie się zapowiadającej — audycji „Chłopi i pola“. Autor jej poszedł po drodze stosunkowo najmniejszego oporu i wysiłku, co ujemnie odbiło się na całości.

Jakże inną była lwowska lekka audycja p. t.: „Serenada sierpniowa“. Mimo, iż właściwie podobnych do niej słyszeliśmy już parę poprzednio i tej wysłuchaliśmy z niemniejszą przyjemnością, nucąc do wtóru solistom i orkiestrze.

Drugi feljeton, czy raczej pogadanka, to „W mieście Słowackiego“ J. B. Liroczyńskiego. Znany ten ze swych barwnie i nteresująco opracowywanych audycyj, autor radjowy i tym razem nie zawiódł słuchaczy. W malowniczych słowach opisał historję „wołyńskich Aten“ i stopniowy rozwój Krzemieńca, aż do jego dzisiejszego wyglądu. Zgrabnie wplecione fakty i daty cieniowały tło pogadanki. Z jednem tylko nie mogę się zgodzić, a to z ustaleniem setnej rocznicy zgonu Słowackiego na rok 1909! Widocznie chochlik drukarski zagląda nawet i do studja radjowego.

Słuchowisko p. t.: „Na śląskiem podwórku“ to produkcja typowa dla rozgłośni katowickiej: bezpretensjonalna, tym razem prawie nikła treść, zupełny brak jakichś nadzwyczajnych wydarzeń, niecałkiem zrozumiała gwara śląska. I może właśnie z tych powodów — tak odróżniających to słuchowisko od innych, w których dzieje się aż za wiele — z pełną satysfakcją przysłuchiwałam się tej audycji, nacechowanej pogodą i prostem, jasnem, mocnem spojrzeniem w świat. „Na śląskiem podwórku“ odpoczęliśmy sobie po niezdrowych sensacjach, nieistotnych zawikłaniach i komplikacjach, wymyślanych przez autorów, silących się na oryginalności i niezwykłość pomysłów.

Twórczość katowickiego Teatru Wyobraźni zasługuje na większą uwagę, jako całkiem odrębną i naprawdę oryginal a niezmiernie interesująca gałąź kunsztu słuchowiskowego.

Irena Nałęcz.

Głosy kobiet w Radjo

Lipcowe pogadanki Działu Kobiecego rozpoczęła inż. Janina Supińska pochwałą „Domowych win owocowych“. Zdaniem prelegentki wino jest napojem szlachetnym, złączonych zwykle w skojarzeniach myślowych ze śpiewem i muzyką, napojem zawierającym pierwiastki dionizyjskie, a jako takim, nadającym się doskonale do uświęcania uroczystych chwil w życiu, czego bezwzględnie nie można twierdzić n. p. o wódce lub piwie i o innych napojach alkoholowych. Wina owocowe domowego wyrobu nie ustępują w niczem winom gronowym najprzedniejszych gatunków, z tem jednak zastrzeżeniem, że są należycie przyrządzone. W misterjum przyrządzania win owocowych nader ważną rzeczą jest gatunek grzybków fermentacyjnych, których hodowlę prowadzi na wielką skalę Instytut Fermentacyjny, preparując drożdże do wszystkich odmian win, a nawet tak wysokich gatunków, jak tokaj, madera i inne. Podawszy szczegółowy przepis sporządzania win z najrozmaitszych owoców i jagód, podkreśliła prelegentka najważniejsze warunki dobrych wyników tej pracy, do których należy: umiejętne dozowanie cukru, właściwe pielęgnowanie moszczu, posługiwanie się czopem fermentacyjnym — który zabezpiecza przed zepsuciem — oraz butelek z idealnie dopasowanemi korkami. Przeciętny koszt litra wina owocowego obliczony jest na 1 zł. Wobec wysokich cen dobrych gatunków win gronowych, a zwłaszcza częstego ich fałszowania — zdrowiej i taniej wypada domowe wino owocowe, do którego wyrobu należałoby zachęcić wszystkich zwolenników tego napoju.

O „Obozach wypoczynkowych dla robotnic fabrycznych“, mówiła pani Janina Miedzińska, przedstawiając doniosłe korzyści takich urządzeń, nietylko dla fizycznego zdrowia. Już sama zmiana otoczenia, nowi ludzie, niezależność od obowiązkowych godzin pracy i jej uciążliwości, oddziaływują poprostu regeneracyjnie na dobre samopoczucie psychiczne. W pracy fabrycznej szereg czynników niszczących zdrowie sprowadza przedwczesną niezdolność zarobkowania, tembardziej, że kobieta zasadniczo gorzej je znosi od mężczyzny, a zwłaszcza w fizjologicznych okresach swego życia. Ponadto, wspólne tempo pracy nie liczy się z indywidualną odpornością jednostek. Sam zaś podział pracy i jej mechanizacja odarły ją z wszelkiej twórczej radości, która jest przecież jedną z najżywotniejszych podniet. A gdy zważymy, że dla kobiety praca nie kończy się z opuszczeniem murów fabryki (jak się to dzieje z mężczyzną) — bo w domu czekają na nią zajęcia gospodarskie i dzieci — wtedy zrozumiemy, czem może się dla niej stać chociażby dwutygodniowy pobyt w obozach, gdzie cały dzień rozplanowany jest w duchu dostarczenia odpoczynku ciału i umysłowi. Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego i Inspekcja Pracy organizując obozy wypoczynkowe dla robotnic, wyrywają je z dusznego powietrza miejskiego i stwarzają idealne warunki odpoczynku w ciszy, pięknie i obcowaniu z przyrodą. — Uczestniczki płacą za cały pobyt zł. 5.—. Po próbie w zeszłym roku, podczas której zaledwie kilkadziesiąt z nich dało się namówić do wzięcia udziału w obozach, liczba uczestniczek w bież. roku doszła do 1100. Znalazłoby się jednak znacznie więcej, gdyby starczyło miejsca. Z obozów wypoczynkowych wynoszą kobiety poza poprawą zdrowia jeszcze inną cenną zdobycz — a mianowicie poczucie przynależności do Państwa, które je otacza swą możną opieką, wobec czego nie czują się już więcej osamotnione w walce o byt.

Uwagi pani Marji Niklewiczowej na temat czem zająć „Młodzież na wsi“ nie wniosły niczego nowego do ogólnie spopularyzowanych szablonów. Są to sprawy dobrze znane tak rodzicom, jak wychowawcom i były już wielokrotnie, a wyczerpująco, poruszane w czasopismach. poświęconych zagadnieniom wychowania.

Rzecz to nie od dziś znana, że kwestje urody, jej pielęgnowania i utrzymania w kwitnącym stanie do późnej starości pasjonowały i pasjonują — kobiety wszystkich epok i narodowości. Nie dziw więc, że i w Radjo temat ten bywa co pewien czas wentylowany ku uznaniu słuchaczek, które ze specjalnem zainteresowaniem gromadzą fachowe wskazówki i śledzą postępy wiedzy kosmetycznej. Tym razem dr. Maria Biernacka zajęła się problemem wartości lata dla zdrowia i urody. Lato, pora wywczasów, wzmożonego uprawiania sportów, wycieczek i podróżowania przynosi z sobą nowe troski sezonowe o cerę. Podróżowanie, zależnie od środków lokomocyjnych nie zawsze korzystnie oddziaływa na skórę, która pod wpływem słońca, wiatru i pyłu doznaje rozmaitych uszkodzeń. Skóra bowiem, to twór żywy, ulegający częstym wahaniom, zależnie od okoliczności. Innych n. p. warunków potrzebuje skóra sucha, przewrażliwiona, a innych tłusta. Normalna zaś znosi dobrze wszelkie trudy podróży i uprawiania sportów. Stąd też panie dbające o swoją cerę powinny wybór miejsca letniego pobytu i środków lokomocyjnych omówić wprzód z lekarzem. N. p. nie każdej cerze służy plażowanie i opalanie się, gdyż skóra wysuszona wiatrem i słońcem bardzo powoli i trudno wraca do normalnego stanu, a czasem nawet niektóre nabyte usterki pozostają na stałe. Prelegentka omówiła wszystkie szkodliwości wycieczek pieszych, koleją, samolotem, statkiem, kajakiem, pobytów w górach, nad morzem — a nawet podała recepty. „Morał zaś tej pogadanki taki oto mniej więcej: skóra zmienia się zależnie od okoliczności, a w ślad za tem potrzebuje zmiennych zabiegów. Najważniejszą rzeczą w pielęgnowaniu cery jest liczenie się z tym faktem. oraz dokładna znajomość błędów i właściwości własnej skóry, unikanie w czemkolwiek przesady i szablonu.

K. SOBAŃSKA.